
if
WORLDS of SCIENCE FICTION
AUGUST 1954
35 CENTS

Raymond F. Jones

Niedouczeni

(The Unlearned)

IF Worlds of Science Fiction, August 1954
Ilustracje: Ed Emsh
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.

Uczeni z Rykemana III uważani byli przez społeczeństwa wszystkich galaktyk, za najwybitniejsze autorytety pod względem osiągnięć naukowych. Teraz zaś Rykesi chcieli podzielić się swoją rozległą wiedzą z naukowcami z Ziemi. Potrafili znaleźć odpowiedź na każde pytanie — za określoną cenę. Hockley, jako jedyny z ziemskich naukowców, był na tyle uparty by konfrontować odpowiedzi z kosztami….

Dyrektor Scientific Services, Information and Coordination, ten tytuł był nieco mylący i niejasny, ale doktor Sherman Hockley, który go dzierżył, nie należał wcale do takich najgorszych, których tytuły były mylące i czasami niejasne.

Mówił o sobie, że nie jest po prostu administratorem biblioteki, chociaż był dumny ze zbiorów informacji, zgromadzonych pod jego kierownictwem. Zawierały one esencję całej zebranej wiedzy, jaką można było zdobyć do chwili obecnej, na Ziemi i planetach pozaziemskich, z którymi jak dotąd udało się skontaktować. Nie czuł się również upoważniony, do stwierdzenia że jest ściśle rzecz biorąc menedżerem nauki, pomimo pełnionych obowiązków administratora najwyższego szczebla wszystkich działów National Standardization and Research Laboratories i ich wszystkich jednostek zależnych w sferze administracji rządowej, przemysłu i edukacji. W czasie jego kierownictwa, National Laboratories zanotowały okres wspaniałego rozwoju, w przeciwieństwie do widocznego w poprzednich latach upadku.

Najmocniej jednak ze wszystkich etykietek, jakimi go obdarzano, wypierał się określenia marionetki, pod którą można było podczepić wszystkie luźne sznurki tej olbrzymiej i niezbornej organizacji. Czasami jednak naprawdę trudno było stwierdzić, czy pomimo wszystko nie stanowiło to jego podstawowego zadania. Jego niestrudzone wysiłki, aby nie dać się zaszufladkować do tej kategorii, zdawały się napotykać coraz bardziej zdeterminowane działania, aby go w jej kierunku zepchnąć.

Oczywiście, widział sprawy w taki sposób, jedynie w co bardziej gorzkich chwilach swojego życia zawodowego –– na przykład, właśnie takich jak obecna. Normalnie posiadał pełną świadomość fundamentalnego znaczenia swojego stanowiska, i z determinacją kierował wszystkim, na skalę zgodną z tym znaczeniem. Jego decyzje mogły wpływać na badania prowadzone w głównych laboratoriach świata. Nie to, żeby był w jakikolwiek sposób dyktatorem, chociaż bywały momenty, kiedy podejmowane przez niego działania nazywano właśnie dyktaturą. Na przykład kiedy pieniędzy potrzebowało kilkanaście projektów, a Kongres przydzielił ich tyle by wystarczyło dla jednego, czy dwóch. Ktoś musiał wtedy dokonać wyboru…

Jego głównym problemem był fakt, że aktywni badacze wiedzieli, że ostatecznie za chleb który jedli, odpowiedzialny był Komitet Nauki Kongresu. A senatorowie za jedynych liczących się, uważali naukowców prowadzących faktyczne prace w laboratoriach. Obie grupy nieustannie wykazywały skłonności do tego, by traktować biuro Hockleya jako coś w rodzaju punktu podparcia, w swoich wysiłkach by zachować równowagę między sobą nawzajem –– albo jako arbitra w prowadzonych walkach podjazdowych, o zdobycie odpowiedniej kontroli nad drugą stroną.

Do tej pory, jednak, z punktu widzenia naukowców, sprawy stały lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Można było zdobyć więcej pieniędzy i zasobów. Stanowiska związane z badaniami podstawowymi, były bardziej bezpieczne.

I wtedy, kilka dni temu, ponownie zaczęły szaleńczo krążyć, pogłoski o Rykemanie III.

Od czasu wykonania przez Człowieka lotu pozagalaktycznego, świat uporczywe prześladowały opowieści o Rykemanie III, powodujące że naukowcy usychali z tęsknoty na samą myśl o tym, że dochodzące do ich uszu wieści, mogą okazać się prawdą. Głoszono, że planeta ta była rajem super-nauki, że mieszkające na niej istoty potrafią znaleźć odpowiedź na każdy problem badawczy, jaki tylko da się wymyślić. Ci nieliczni Ziemianie, którzy byli na Rykemanie III, potwierdzali pogłoski. Zgodnie z ich opowieściami, to rzeczywiście był raj. A pomiędzy innymi narodami galaktyk, mieszkańcy Rykemana III, uznawani byli za największe autorytety, o najwspanialszych osiągnięciach naukowych. Nikt nie ośmielał się rzucić im wyzywania. Nikt nawet nie zbliżał się do poziomu ich zdolności.

Całą sytuację czynił dla Ziemian jeszcze bardziej frustrującą, pewien fakt. Dodatkowo bowiem doniesienia mówiły, że Rykesi byli dosyć altruistyczni, dzieląc się chętnie swoją wiedzą ze znaczną liczbą innych planet, i żądając w zamian wyłącznie opłaty. Ziemscy naukowcy, chodzili jak odurzeni, na samą myśl o tym, by studiować pod kierunkiem wielbionych Rykesów.

Wszyscy, za wyjątkiem doktora Shermana Hockleya. Od początku przyjął niechętną postawę w stosunku do doniesień o Rykesach. Biorąc pod uwagę osiągnięcia National Laboratories, nie widział żadnego powodu, aby jego koledzy nieco wstydliwie, wyrzekali się swoich własnych prac, preferując ponad nie kompletnie nieznaną cywilizację, zamieszkującą setki milionów lat świetlnych stąd. W związku z prowadzonymi badaniami, byli zmuszeni do kontaktów z bardziej rozwiniętymi cywilizacjami – i jakże cudownie by było, gdyby wszystkie były równie altruistyczne jak Rykesi! –– ale nie było żadnego powodu, aby rozbić z siebie głupiutkie dzieciaki, mające jedynie nadzieję, że wielcy Rykesi zniżą się do tego, aby ich uczyć.

W przeszłości, zatrzymywał swoje opinie wyłącznie dla siebie, ponieważ nie były one specjalnie popularne wśród jego współpracowników, którzy generalnie uważali jego postawę, jako po prostu staromodną. Teraz jednak, po raz pierwszy w historii, statek Ryke zaszczycił swoją wizytą Ziemię. Natychmiast wybuchły nieomal histeryczne spekulacje o możliwości zaoferowania Ziemi opieki przez

potężnych naukowców Ryke. Uczciwie rzecz biorąc, Hockley nie mógłby powiedzieć, że jest absolutnie i niezmiennie przeciwny temu pomysłowi. Określiłby się raczej, jako niezmiernie ostrożnego. To, czemu się z całego serca sprzeciwiał, to entuzjazm, który malował Rykesów wyłącznie w jasnych i czystych barwach, bez śladu najlżejszego cienia w całym tym obrazie.

Od czasu swojego przybycia, wysłannik Ryke, siedział zamknięty z członkami Komitetu Nauki Kongresu. Nie wyciekło stamtąd nawet słowo, przynajmniej o ile wiedział. Wkrótce jednak, naukowcy zostaną dopuszczeni do tajemnic, które będą oddziaływać na ich kariery, zmieniając je na lepsze lub na gorsze, na całą resztę ich życia i na wiele kolejnych nadchodzących pokoleń. To spotkanie miało się odbyć…

Hockley zerwał się na nogi, kiedy tylko spojrzał na zegar. Wybiegł przez drzwi, do biura swojej sekretarki, panny Cardston, która popatrzyła na niego znacząco, kiedy ją mijał.

– Założę się, że senator nie przyjdzie na czas – rzucił do niej w biegu.

Na korytarzu niemal zderzył się z doktorem Lesterem Showalterem, swoim asystentem administracyjnym, do spraw badań podstawowych.

– Ten facet z Ryke, pojawił się piętnaście minut temu – przekazał mu Showalter. – Wszyscy czekają.

– Mamy jeszcze sześć minut – odparł Hockley. Ruszył szybkim marszem u boku Showaltera. – Czy są jakieś wieści, co takiego ważnego ma ten wysłannik?

– Nie. Czuję jednak przez skórę, że to będzie coś naprawdę dużego. Są tam Wheeler i Johnson z Budżetu. Ktoś wspominał, że to może mieć coś wspólnego z National Lab.

– Nie widzę związku między tym, a spotkaniem z Ryke – stwierdził Hockley.

Showalter zatrzymał się przed drzwiami Sali konferencyjnej.

– Być może będą chcieli coś nam sprzedać. Za wszelką cenę musimy się tego dowiedzieć.

Stół konferencyjny otoczony był przez senatorów należących do Komitetu. W kolejnych rzędach za nimi siedzieli naukowcy, reprezentujący śmietankę organizacji Hockleya. Przywitał ich senator Markham, Przewodniczący, tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy.

– Panowie, zarezerwowaliśmy wam siedzenia u szczytu stołu – powiedział po ich wejściu.

– Przepraszam za kłopot – wymamrotał Hockley. – Zegar musiał się późnić.

– Absolutnie w porządku. Po prostu zebraliśmy się troszeczkę za wcześnie. Chciałbym panom przedstawić naszego gościa, Specjalnego Wysłannika z Rykemana III, Liacana.

Następnie Markham przedstawił ich, a chudy jak patyk wysłannik wstał z wyciągniętą ręką. Jego głos był słaby i szepczący, co dobrze pasowało do ptasiej postaci przybysza. Przemówił jednak wyraźnie:

– Szczęśliwy jestem, że mogę panów poznać, doktorze Hockley, doktorze Showalter.

Obaj mężczyźni usiedli w miejscu, z którego mieli dobry widok na profil gościa. Hockley widział już kiedyś Rykesa, ale zawsze odtrącał go ich snobistyczny styl bycia. Charakterystyczne, że wysłannik wykazywał jedynie z grubsza cechy antropomorficzne, biorąc pod uwagę choćby krótką pierzastą okrywę, od strony grzbietu. Ubrany był w jasne ubranie, które nie zasłaniało smugi pierza, odchodzącej w dół, od jasnej korony z piór, i biegnącej mu z tyłu po karku. Siła ciężkości i ciśnienie powietrza na Ziemi, były dla niego mniej więcej normalne. Potrzebował jednakże małego urządzenia do oddychania, które wystawało z jednego z jego wąskich nozdrzy. Podłączone było do niewielkiego zbiorniczka umieszczonego na ramieniu.

Markham poprosił wszystkich o spokój, i przedstawił gościa. Rozległy się gromkie brawa. Liacan pochylił głowę w krótkim, sztywnym ukłonie i przesunął swoimi małymi, czarnymi oczkami po zebranych słuchaczach. Po szybkiej korekcie swojego urządzenia do oddychania, rozpoczął przemowę.

– Wszystkim na Ziemi – oznajmił, – podobnie jak i na każdej innej planecie, wiadomo że moi rodacy z Rykemana III dzierżą bezdyskusyjne przodownictwo intelektualne, we wszystkich galaktykach wchodzących w skład Rady. Wasze badania dotyczą rzeczy i spraw, które na mojej planecie uczone są co najwyżej w przedszkolach. Większość z tego, co uważacie za prawdę, jest błędne, a wasze największe odkrycia, są ewidentne dla dzieci pochodzących z mojego narodu.

Hockley poczuł szybkie, bolesne skurcze w okolicy przepony. A więc to o to chodziło!

– Przez niektórych z naszych niedouczonych sąsiadów w kosmosie, jesteśmy traktowani z wielką dozą zazdrości, zawiści, a nawet nienawiści – mówił dalej Rykes. – Ale samolubne skrywanie naszych największych osiągnięć, które czynią nas przedmiotem tego rodzaju uczuć, nigdy nie było naszym pragnieniem. Uruchomiliśmy więc program przewodnictwa naukowego w naszym międzygwiezdnym sąsiedztwie. Rozpoczął się on na długo wcześniej, zanim wyruszyliście w kosmos, a wiele planet zaakceptowało już plan, który im oferujemy.

– Oczywiście zalewanie innych całą zgromadzoną przez nas wiedzą praktyczną i podstawową, byłoby nierozsądne. Pozostałe planety szybko by stwierdziły, że uporządkowanie jej i określenie do czego można ją zastosować, jest niemożliwe. Postanowiliśmy więc służyć jako centrum konsultacyjne, do którego w razie potrzeby mogą zgłaszać się inni, aby otrzymać informacje odnoszące się do każdego problemu, jaki w danej chwili się pojawił. Dzięki temu nie potrzebują oni przeszukiwać całej tej nieprzydatnej wiedzy, aby odnaleźć to, co jest im potrzebne.

– Na przykład, jeżeli będziecie chcieli państwo usprawnić swój transport naziemny, dostarczymy wam wszelkich danych, niezbędnych do budowy optymalnych pojazdów, dostosowanych do panujących na Ziemi warunków, i które będą praktycznie niezniszczalne. Oczywiście produkcję na własne potrzeby przeprowadzicie państwo sami, ale nawet tutaj, możemy dostarczyć wam technologii, która usprawni ten proces w niemal cudowny, według państwa obecnych standardów, sposób.

– Nasze usługi, oferowane są za opłatą, uiszczaną w postaci odpowiednich dóbr albo surowców. Kiedy weźmiecie państwo pod uwagę fakt, że dzięki temu uwalniacie się od monotonnych i niekończących się badań w obszarach, które już wcześniej zostały zgłębione przez nas, to jestem pewien, że nie uznacie państwo naszych opłat za wygórowane. Naszym pragnieniem jest podnoszenie poziomu rozwoju cywilizacyjnego wszystkich ludów, do najwyższego pułapu, do jakiego tylko są one zdolne. Wiemy, że doprowadzenie innych do naszych własnych, najwyższych standardów, nie jest możliwe, ani nawet pożądane, ale oferujemy pomoc wszystkim cywilizacjom, w miarę ich zdolności do przyswajania sobie naszych propozycji. Podstawową zasadą jest, że powinny one pytać, i o cokolwiek by nie zapytały, jeżeli tylko poziom ich inteligencji będzie dostatecznie wysoki do wykorzystania tego, zostanie im to przekazane.

– Jestem pewien, że mogę liczyć na państwa akceptację, dla hojnej oferty moich rodaków.

Wysłannik usiadł, powiewając swoim jasnym upierzeniem, a w pomieszczeniu zapadła absolutna cisza. Hockley wyobraził sobie obrastające kurzem i pajęczynami laboratoria Ziemi, opuszczone przez naukowców, którzy pobiegli do telefonów, by kontaktować się z Rykesami, w celu uzyskania odpowiedzi na każdy problem.

Senator Markham wstał i popatrzył z góry po wszystkich obecnych.

– To jest istota programu, który został nam przedłożony – powiedział. – Niewątpliwie pozostaje olbrzymia liczba rozmaitych szczegółów, które są oczywiste dla umysłów naszych drogich przyjaciół na Rykemanie III, ale które muszą stać się przedmiotem wielu rozważań, ze naszej strony, stosunkowo mało wyrafinowanych Ziemian. – Całkowicie celowo, lekko zachichotał, co pozostało bez odpowiedzi.

Hockley czuł pustkę w głowie. Tak więc w końcu mieli do czynienia, z czymś, na co większość z zebranych miała nadzieję, czego niewielu tylko oczekiwało z niepokojem, a niemal nikt się temu nie sprzeciwiał.

– Głównym problemem – powiedział Markham powoli i z godnością, – jest cena. Jest wysoka, to prawda. W kategoriach pieniężnych, w przybliżeniu dwanaście i pół miliarda na rok. Ale z pewnością, żaden człowiek przy zdrowych zmysłach, nie uważałby żadnej rozsądnej kwoty za zbyt wysoką, biorąc pod uwagę to, co, jak oczekujemy, otrzymamy od naszych przyjaciół z Rykemana III.

– My, członkowie Komitetu Nauki, uważamy jednak, że nie uda nam się pozyskać takiej sumy dodatkowo, oprócz naszego normalnego budżetu. Istnieje jednak jedno, raczej oczywiste rozwiązanie. Wymagana suma jest bardzo bliska tej, jaką obecnie wydajemy na National Standardization and Research Laboratories.

Hockley poczuł nagły chłód na karku.

– Mając zapewnioną pomoc Rykesów – mówił dalej Markham, – w przyszłości nie będziemy już potrzebowali National Laboratories. Niezbędny będzie jedynie niewielki zespół pracowników, którzy będą analizowali nasze problemy, prezentowali je Rykesom i przekazywali ich odpowiedzi, zapewniając ich właściwą asymilację. Akceptacja programu Ryke, daje nam więc automatycznie środki do jego finansowania!

Rozejrzał się wokoło, z tryumfalnym uśmiechem. Hockley czuł się, jakby spoglądał jak przez mgłę, na coś co wydarzyło się dawno temu. National Lab! Zrezygnować z National Lab!

Wszędzie dookoła widział lekkie skinięcia głów swoich kolegów. Niektórzy z nich marszczyli wargi, jakby z wątpliwością, ale nie jakoś specjalnie przesadnie. Czekał aż ktoś zerwie się na nogi i wybuchnie protestem. Nikt tego nie zrobił. Przez moment ręce Hockleya zacisnęły się na oparciu stojącego przed nim krzesła. Potem jednak opadł z powrotem na własne miejsce. Teraz nie czas, na to.

Musieli to rozpracować pomiędzy sobą. Musiał im pokazać rozmiary tej łapówki. Musiał znaleźć argumenty na rozbicie irracjonalnych nadziei kongresmenów na raj. Nie mógł błagać o zachowanie laboratoriów wyłącznie na gruncie sentymentów, czy też tego że czasami dobrym pomysłem jest samemu rozwiązywać swoje własne problemy. Senatorów nie obchodzą sprawy niepokojące naukowców. Okazało się, że nawet sami naukowcy, zapomnieli, że powinny ich one obchodzić. Musiał uderzyć do obu grup z czymś bardziej konkretnym.

Markham kontynuował swoją mowę.

– Przekonani jesteśmy, że jest to okazja, którą nawet najbardziej uparci z naszych kolegów kongresmenów, szybko przyjmą do wiadomości. Szaleństwem byłoby dalej liczyć przy pomocy liczydeł, w sytuacji kiedy możemy uzyskać dostęp do gigantycznych kalkulatorów. Pozyskanie funduszy przeniesionych z National Laboratory, nie powinno więc sprawić żadnych poważniejszych trudności.

– Na teraz kończymy więc obecne spotkanie. Liacan odlatuje dzisiaj wieczorem. Nasza akceptacja tej szczodrej oferty, zostanie przekazana na Rykemana III, natychmiast po oficjalnym jej przyjęciu przez Kongres. Chciałbym prosić tę samą grupę, o ponowne spotkanie w celu przedyskutowania szczegółów, wynikających z tego transferu operacji. Panowie, powiedzmy, o godzinie dziesiątej rano.

Hockley pożegnał się z wysłannikiem. Następnie przebił się przez krąg senatorów, podchodząc do swojej grupy. Kiedy znaleźli się na korytarzu, skupili się wokół niego i szli wspólnie, tak jakby wydał im polecenie, aby za nim podążali. Odwrócił się do nich i usiłował szeroko się uśmiechnąć.

– No cóż panowie, wygląda jakby nasze akcje leciały na łeb na szyję. Zebranie za pięć minut, w moim biurze.

Kiedy wraz z Showalterem otworzyli drzwi do biura panny Cardston i weszli do środka, sekretarka uniosła głowę i popatrzyła na nich ze zdziwieniem:

– Myślałam, że panowie mieli spotkanie w sali konferencyjnej.

– Spotkaliśmy się – odparł Hockley. – To jest spotkanie po tamtym spotkaniu. Proszę posłać po dwie skrzynki piwa. – Popatrzył na liczbę osób napływających przez drzwi, i pogrzebał w portfelu. – Lepiej niech będą trzy. To powinno pokryć koszty.

Panna Cardston z dezaprobatą wzięła od niego banknoty i odwróciła się w stronę telefonu. Niemal równocześnie rozległ się ryk protestu, i ogromna, podobna do bochna chleba łapa, schwyciła ją za szczupły nadgarstek. Spojrzała do góry, z chwilowym przestrachem.

Doktor Forman K. Silvers złapał ją jedną ręką za nadgarstek, a drugą klepał po plecach Hockleya.

– Piwo nie nadaje się na tę okazję, mój chłopcze! – huknął swym potężnym głosem. – Proszę to zmienić na skrzynkę szampana, panno Cardston. – Puścił ją, i wyciągnął z kieszeni własny portfel.

– Niech ktoś przyniesie ze dwadzieścia krzeseł – powiedział Hockley.

Kiedy znalazł się już we własnym biurze, podszedł do okna, znajdującego się z tyłu, za biurkiem, i stanął twarzą do niego. Sponad oceanu unosiła się popołudniowa mgiełka. Wielkie budynki National Laboratories, znajdujące się po drugiej stronie miasta, były ledwie widoczne. Słońce odbijało się od wierzchołka wystającej ponad warstwę mgły, ośmiopiętrowej wieży, w której instalowane były właśnie tunele wysokoenergetycznych pól siłowych, nowo budowanego gammatronu.

Albo raczej miały być instalowane.

Gammatron miał umożliwić tworzenie pól grawitacyjnych, aż do pięciu tysięcy g. Dla Rykesów, pewnie byłaby to zwykła zabawka, ale Hockley czuł szaloną dumę z tej konstrukcji. Być może duma ta była nieco infantylna. Być może infantylne były jego wszystkie uczucia, koncentrujące się na laboratoriach. Być może nadszedł czas, aby zrezygnować z takich dziecinnych zabaw i przyjąć na siebie ciężary dorosłości.

Ale spoglądając ponad budynkami miasta, na betonową iglicę gammatronu, jakoś nie potrafił w to uwierzyć.

Usłyszał dzwonienie metalowych krzeseł, kiedy paru urzędników, zaczęło je znosić do jego biura. Potem rozległ się brzęk szkła. Odwrócił się, i zobaczył pannę Cardston sztywno wskazującą miejsce na kieliszki i oszronione butelki, na stole koło biblioteczki.

Hockley bez pośpiechu podszedł do stołu i nalał sobie pełny kieliszek. Powoli uniósł go do góry.

– Panowie, to było krótkie życie, ale za to wesołe.

Przełknął zawartość kieliszka, zbyt szybko, i wrócił do swojego biurka.

– Nie wygląda pan na specjalnie szczęśliwego, z powodu tej całej sytuacji – stwierdził Mortenson, chemik noszący schludne, srebrzyste wąsy.

– A pana to ucieszyło – spytał Hockley, – że zamieniamy National Lab, na jakąś bezdenną encyklopedię?

– Tak, wydaje mi się, że tak – odparł Mortenson. – Są oczywiście pewne drobne sprawy, które budzą sprzeciw, ale w sumie pewien jestem, że wszyscy będziemy zadowoleni z tego co dostaniemy.

– Zadowoleni! Szczęśliwi! – zawołał matematyk, doktor Silvers. – Jak można używać słów tak prozaicznych i powściągliwych, w odniesieniu do tych wspaniałych wydarzeń, jakich będziemy mieli zaszczyt być świadkami w trakcie naszego dalszego życia?

Podszedł do stołu koło biblioteczki i właśnie nalewał do kieliszków przejrzystego, pieniącego się bąbelkami szampana, z ekstatyczną radością rozchlapując go po stole i dywanie.

Hockley spojrzał w jego stronę.

– A więc pan, panie doktorze, nie uważa, że powinniśmy zachować w stosunku do Rykesów choćby minimum rezerwy?

– Nie, w żadnym wypadku! Sami bogowie zstąpili do nas, na dół, i zaofiarowali nam zaproszenie prosto do raju. Czy powinniśmy to kwestionować, albo się ociągać, czy też raczej oznajmić, że najzwyczajniej w świecie, jesteśmy szczęśliwi? Właściwa odpowiedź człowieka na propozycję wstąpienia do nieba, jest poza wszelką dyskusją!

Bombastyczność matematyka była niezawodną metodą ożywienia wszystkich kuluarowych dyskusji, w jakich brał on udział.

– Nie mam żadnych wątpliwości – mówił on dalej, – że w ciągu dwóch tygodni będziemy w posiadaniu rozwiązania równań Legranda[1]. Szukałem go przez czterdzieści lat.

– Myślę jednak, że poparcie dla decyzji o zamknięciu National Laboratories, byłoby błędem – powoli oznajmił Hockley.

Nastrój wszystkich obecnych zmienił się, jakby za pociągnięciem różdżki. W ich postawie i ruchach pojawiła się nagle ostrożność, tak jakby starali się wywieść w pole jakiegoś śmiertelnie niebezpiecznego przeciwnika.

– Nie wydaje mi się, żeby to był naprawdę taki zły interes – odezwał się jako pierwszy szczupły okularnik, fizyk o nazwisku Judson. Siedział po przeciwległej stronie pokoju, w stosunku do Hockleya. – Będę głosował za tym, żeby poświęcić Lab, w zamian za to, co dadzą nam Rykesi.

– I o to właśnie chodzi – powiedział Hockley. – A tak dokładniej rzecz biorąc, to co w zasadzie Rykesi chcą nam oferować? A my tak sobie gładko mówimy o tym, że podzielą się z nami ich nauką. Ale czy tak naprawdę, to mamy jakiekolwiek podstawy do tego, by się nią z nami dzielić? Co się stanie z klasą naukowców na Ziemi, jeżeli zrezygnujemy z Lab?

Biolog, Wilkins wstał gwałtownie, trzymając ręce na wpół wsunięte do kieszeni i napinając nerwowo mięśnie szczęki.

– Nie wydaje mi się, aby to było częścią rozważanej kwestii – zadeklarował. – To nie tylko my, naukowcy, będziemy dzielić korzyści, jakie oferują nam Rykesi. Skorzysta na tym cała ludzkość. W takiej chwili nie mamy prawa brać pod uwagę, naszych własnych obaw. Gdybyśmy choćby na moment pomyśleli o przeciwstawieniu się temu przedsięwzięciu, z powodu naszych osobistych trosk oraz obaw, odnośnie problemów

[1] W oryginale „Legrandian Equations”. Muszę się tu przyznać do pewnych wątpliwości. Nie wiem, czy mowa tu jest o jakimś wymyślonym przez Jonesa futurystycznym problemie matematycznym, czy też jest to jakieś przekłamanie i chodzi o coś rzeczywistego. Za pierwszym wariantem przemawia fakt, że sprawdziłem kilka kopii tekstu i wszędzie jest tak samo jak w Gutenbergu, nawet w oryginalnej publikacji opowiadania w „If”. Ponadto nic mi tu jakoś specjalnie nie pasuje, pomimo ze mam pewne kompetencje w tej dziedzinie. „Równania Legendre’a”? Nie za bardzo wiem o co mogłoby chodzić. „Równania Lagrange’a”? No, takie są, ale trudno mówić o nich jako o jakimś problemie generalnie nierozwiązywalnym. Tak więc stanęło na pierwszym (przyp. tłumacza).

ekonomicznych i zawodowych, jakie ono dla nas spowoduje, zdradzilibyśmy w ten sposób całe nasze powołanie, nasze człowieczeństwo. Nigdy jeszcze tak nie było, by jakikolwiek prawdziwy naukowiec, nie odłożył by na bok swoich osobistych spraw, dla dobra ogółu.

Hockley czekał, na wpół spodziewając się, że ktoś zacznie klaskać. Nikt tego nie zrobił, ale w stronę Wilkinsa skierowały się spojrzenia pełne poparcia i aprobaty. Biolog pełnym zadowolenia gestem rozprostował rękawy swojej marynarki i czekał na replikę Hockleya.

– *My wszyscy* jesteśmy ludzkością – w końcu odparł Hockley. – Wy panowie i ja jesteśmy w równym stopniu częścią ludzkości, jak autobus pełen urzędników śpieszących do swoich dziurkaczy, czy sprzedawców sklepowych, przechodzących obok niego na ulicy. Jeżeli zdradzamy samych siebie, zdradzamy całą ludzkość.

– To nie jest coś, co pojawiło się nagle. To jest koniec pewnego trendu, który rozwijał się przez długi czas. Rozpoczęło się to od naszych pierwszych kontaktów, nawiązanych poza galaktyką, kiedy uświadomiliśmy sobie, że istnieją ludy dużo bardziej od nas zaawansowane pod względem naukowym i ekonomicznym. Żerowaliśmy na nich, niemal od zawsze. Przy tym nasz własny rozwój kurczył się w odpowiedniej proporcji. Od dłuższego czasu jesteśmy na krawędzi stania się intelektualnymi pasożytami Wszechświata. Akceptacja oferty Ryke, stanowić będzie jedynie ostatni krok w tym kierunku.

Natychmiast, niemal wszyscy znajdujący się w pomieszczeniu ludzie, zaczęli mówić jednocześnie. Hockley uśmiechając się lekko, poczekał aż gniewne głosy ucichną. Potem delikatnie odchrząknął Silvers. Precyzyjnym ruchem odstawił swój kieliszek na stół, koło butelek

– Jestem pewien – powiedział, – że chwila namysłu przekona pana, że mówiąc to co pan przed chwilą powiedział, nie miał pan racji. Zastanówcie się panowie nad stosunkiem uczeń –– nauczyciel. Jedną z największych wad nas ludzi, jest upodobanie do przyjmowania pozycji nauczyciela i niechęć do stawiania się w położeniu ucznia. Ponadto jest jeszcze kwestia pokory, intelektualnej pokory. My, naukowcy, zawsze chwaliliśmy się naszą gotowością do odrzucenia tego co wcześniej uważane było za prawdę i akceptacji poglądów, za którymi stoi więcej przekonywujących dowodów.

– Od czasu naszego pierwszego kontaktu z innymi galaktycznymi cywilizacjami, pojawiła się pierwszorzędna potrzeba przyjęcia przez nas postawy pokory. Mieliśmy szczęście, że wchodziliśmy do społeczności cywilizacji, dla których wojna i dążenie do dominacji, nie stanowią standardowych reguł postępowania. Pomiędzy naszymi rodakami nie spotyka się raczej takiej wielkoduszności, jaka wielokrotnie była wysuwana przez inne planety, a uwieńczona została obecnie przez wspaniałą ofertę Ryke.

– Doktorze Hockley, przecież przyjęcie szczerej pokory intelektualnej i postawy ucznia, to nie to samo, co funkcjonowanie na zasadach pasożyta.

– Pańska analogia nauczyciela i ucznia, w zupełnie niewłaściwy sposób opisuje nasze relacje względem Rykesów – odparł Hockley. – Albo, może

raczej powinienem powiedzieć, że jest ona cholernie za dokładna. Czy chciałby pan, żebyśmy pozostali wiecznymi uczniami? Zamknięcie National Laboratories oznacza przyjęcie nieodwracalnej zmiany w naszym położeniu. Czy zyskanie dostępu do uniwersum wiedzy warte jest poświęcenia naszej własnej osobistej swobody stawiania pytań?

– Jestem pewien, że nikt z tutaj obecnych, nie ma zamiaru zrezygnować z osobistej swobody stawiania pytań – oznajmił Silvers, niemal z gniewem. – Przeciwnie, my widzimy w tym nieograniczoną ekspansję tej swobody, ponad wszelkie granice, jakie mogliśmy sobie wyobrazić w najwspanialszych marzeniach.

Na kilku twarzach pojawił się wyraz niepewności i zmarszczone brwi, ale nikt nie poparł go nawet słowem. Hockley zdawał sobie sprawę, że dopóki ta wizja raju nie rozwieje się, nie będzie mógł liczyć na żadnego spośród nich.

Uśmiechnął się szeroko i usiłował złagodzić napięcie panujące w pomieszczeniu.

– No cóż, panowie, wydaje się, że podjęliście już decyzję. Oczywiście, Kongres może przyjąć plan Ryke, niezależnie od tego czy my go zaaprobujemy, czy nie, ale nigdy nie zaszkodzi wyrazić swoją opinię, taką czy inną. Przypuszczam, że wychodząc dzisiejszego wieczora z pracy, dobrze byłoby po drodze zgłosić się do Personalnego i zarejestrować się w poszukiwaniu nowej pracy.

Potem jednak pożałował, że to powiedział. Po tej niezbyt dobrze przyjętej próbie dowcipu, napięcie na ich twarzach jeszcze bardziej wzrosło.

Kiedy pozostali wyszli już z biura, Showalter został razem z nim. Usiadł na blacie biurka, podczas gdy Hockley znowu odwrócił się do okna. Obecnie już tylko sam czubek wieży gammatronu chwytał ostatnie resztki późno popołudniowego światła słonecznego.

– Chyba zaczynam się starzeć – westchnął Hockley. – Być może to oni mają rację i Laboratories nie są warte zachowania, jeżeli miałoby to oznaczać wybór między uzyskaniem albo nieuzyskaniem tej opieki od Rykesów.

– Ale ty nie uważasz, żeby to była prawda – powiedział Showalter.

– Nie.

– To ty zbudowałeś Laboratories, doprowadzając je do ich obecnej postaci. Są one teraz ważniejsze niż kiedykolwiek, a ty zobowiązany jesteś do tego, aby ich bronić przez zniszczeniem przez grupę polityków, którzy nigdy nie zdołają zrozumieć, jak bardzo są potrzebne.

– Ja ich nie zbudowałem – zaprzeczył Hockley. – Rozwinęły się, ponieważ udało mi się znaleźć ludzi, którzy chcieli aby ta instytucja zaistniała. Ale od tak długiego czasu nie brałem już udziału w badaniach… poza tym nigdy nie byłem w tym tak naprawdę dobry. Czy wiedziałeś o tym? Zawsze myślałem o sobie, jako o kimś w rodzaju impresario produkcji naukowych, że też użyję takiego określenia. Być może ci, którzy

są bliżej prawdziwej pracy, mają rację. Być może nadszedł czas na przeskoczenie do postępu nowego rodzaju.

– Sam nie wierzysz w tego rodzaju rzeczy.

Hockley nieustannie spoglądał w stronę budynków Laboratoriów.

– Nie, nie wierzę w to. To tam, to nie jest tylko zwykłe skupisko budynków, z przypisaną do nich nazwą. To najbardziej zaawansowana stacja badawcza w całej historii prób zdobycia przez Człowieka jakichś okruchów wiedzy o sobie samym i o Wszechświecie. Ta żmudna praca rozpoczęła się jeszcze zanim neandertalczyk wszedł do swojej jaskini, pół miliona lat temu. Od tego czasu, do dzisiaj, była to ścieżka nieustannego powtarzania kolejnych prób i popełniania błędów –– uczenia się. Przeżyliśmy na niej uniesienia szczęścia, i niepowodzenia. Sukcesy i porażki. A teraz oni chcą powiedzieć, że to wszystko było na nic.

– Ale jeśli staniemy się uczniami… jeśli pozwolimy Rykesom, aby nas uczyli…

– W argumentacji Silversa jest tylko jeden mały problem, polegający na tym, że nasza cywilizacja nigdy nie zrozumiała pewnej rzeczy. Mianowicie, że nauczanie, w powszechnie przyjmowanym znaczeniu tego słowa, jest po prostu niemożliwością. Jedyne co może istnieć, to uczenie się, a nie nauczanie. Z rzeczywistego procesu uczenia się, nauczyciel musi zostać wyeliminowany, zanim prawdziwe uczenie się będzie mogło mieć miejsce. A oferta Rykesów, oznacza, że staną się oni Nauczycielami Ostatecznymi.

– Ale jeżeli to co mówisz jest prawdą – powoli stwierdził Showalter, – to nigdy ci się nie uda wbić do głowy twoich racji tych, którzy się z tobą nie zgadzają, nieprawdaż? Musieliby nauczyć się tego sami.

Hockley odwrócił się do niego. Przez chwilę wpatrywał się w swojego asystenta. Potem jego twarz wykrzywiła się w lekkim uśmieszku.

– Oczywiście, masz rację! Jest tylko jeden sposób, w jaki mogliby to zrozumieć: musieliby praktycznie doświadczyć tego, co oznacza protektorat Rykesów.

O tak późnej porze, wieczorem, większość pracowni centrum Informacyjnym było już pustych. Hockley po przyjściu tam, wybrał pierwszą z brzegu i wywołał wszystkie, najdrobniejsze nawet, strzępki danych, odnoszące się do Rykemana III. Na temat fizycznej charakterystyki planety, dostępnych było nawet całkiem sporo informacji. Przeglądając je, Hockley zaczął szybko sporządzać notatki. Bazgrał straszliwie, ale sam siebie potrafił odczytać. Rykesi żyli pod działaniem siły ciężkości o jedną trzecią silniejszej niż na Ziemi, ich dzień miał długość niewiele większą niż połowa dnia ziemskiego, a ze swego słabowitego słońca, otrzymywali jedynie czterdzieści procent ilości ciepła, do jakiej przyzwyczajeni byli Ziemianie.

Charakterystyka pod kątem cywilizacyjnym, zawierała opis systemu handlowego, który czynił całą planetę jednolitym organizmem gospodarczym. Ponadto planeta w całej swojej historii nie przeżyła ani jednej wojny. Sami Rykesi nie wnieśli jednak do centralnych bibliotek w galaktykach, niemal zupełnie nic, co dotyczyłoby ich własnej konstrukcji psychologicznej czy funkcjonowania umysłu. Te niewielkie dostępne

zasoby informacji, pochodziły od obserwatorów, a nie od przedstawicieli ich rasy.

Były pewne wskazówki, że ich rasa w dużym stopniu pozbawiona była emocji i nie uznawała żadnych środków wyrazu artystycznego. Hockleyowi wydawało się to dziwne. Generalnie regułą było, że osiągnięciom intelektualnym na wysokim poziomie, towarzyszyła twórczość artystyczna na równie wysokim poziomie.

Wszystko to jednak nie dawało żadnych danych, które mogłyby odnosić się do obecnego przypadku, żadnych argumentów w dyskusji, jakich nie miałby już wcześniej. Włożył filmy z powrotem do odpowiednich srebrzystych puszek, i siedział wpatrując się w ich schludny stosik, piętrzący się na pulpicie. Potem aż uśmiechnął się nad własną tępotą. Danych na temat Rykemana III mogło brakować, ale przecież plan Rykesów próbowano wprowadzić w życie na wielu planetach. Dane na *ich* temat, nie powinny być takie skąpe.

Zwrócił puszki i wystukał na panelu wywoławczym nowe zapytanie. Dwadzieścia sekund później, przyjemnie go zaskoczył widok sporej ilości nowych taśm, jaka pojawiła się w zasobniku. Było ich tyle, że wystarczałyby one na całą noc pracy. Żałował, że nie zabrał ze sobą do pomocy Showaltera.

Wtedy wpadła mu w oko etykieta na puszce leżącej na szczycie stosu: Janisson VIII. Ta nazwa rozdźwięczała znajomymi tonami, gdzieś w głębi jego umysłu. Po chwili już sobie przypomniał. To była ojczysta planeta Waldona Thara, jednego z jego najbliższych przyjaciół, w trakcie roku spędzonego na zaawansowanych studiach, na uczelni w Galactic Center.

Thar był jednym z najbardziej błyskotliwych badaczy, jakich Hockley kiedykolwiek spotkał. W najbardziej twórczych debatach, nieustannie był daleko poza możliwościami każdego innego uczestnika.

Janisson VIII. Thar mógłby mu opowiedzieć o Rykesach!

Hockley odsunął na bok puszki i podszedł do znajdującego się w pracowni telefonu. Wybrał numer centrali międzygwiezdnej.

– Poproszę rozmowę z Janissonem VIII, priorytet rządowy – powiedział. – Waldon Thar. Studiował w Galactic Center Research Institute, dwadzieścia trzy lata temu. Przyleciał tam z miasta Plar, w którym w tamtych czasach mieszkał. Nie mam o nim żadnych innych informacji, poza tą, że prawdopodobnie zatrudniony jest jako pracownik badawczy.

Przez kilka chwil panowała cisza, kiedy operatorka notowała otrzymane informacje.

– Będzie pewne opóźnienie – poinformowała go w końcu. – W chwili obecnej wszystkie promienie międzygalaktyczne są zajęte.

– W takim przypadku mogę użyć mojego najwyższego pierwszeństwa dla nagłych wypadków – powiedział Hockley. – Czy na jego podstawie może pani oczyścić dla mnie linię?

– Tak. Proszę chwilę poczekać.

Siedział przy oknie przez pół godziny, wyłączywszy światła w pracowni, tak że mógł przyglądać się ruchowi statków na zachodnim porcie kosmicznym, koło budynków Laboratories. W czasie kiedy czekał,

wystartowały dwa statki kosmiczne, a trzy przyleciały. Potem zadzwonił telefon.

– Bardzo mi przykro – przekazała mu operatorka. – Otrzymaliśmy informację, że Waldona Thara nie ma na Janissonie VIII. Poleciał na Rykemana III, jakieś swa ziemskie lata temu. Czy życzy pan sobie, aby spróbować go tam zlokalizować?

– Oczywiście – odparł Hockley. – Ten sam priorytet.

Sytuacja układała się lepiej, niż miał na to nadzieję. Thar naprawdę mógł mu dostarczyć potrzebnych informacji o Rykesach. Dwadzieścia minut później, telefon ponownie zadzwonił. W pierwszych słowach operatorki, Hockley od razu wyczuł przepraszający ton, i wiedział, że ich próba się nie udała.

– Nasze biuro ustaliło, że Waldon Thar obecnie jest w podróży, jako doradca emisariusza Ryke, Liacana. Być może uda nam się prześledzić…

– Nie! – wykrzyknął Hockley. – To nie będzie konieczne. Wiem już…

Prawie roześmiał się sam do siebie, na głos. To było wręcz nieprawdopodobne szczęście. Waldon Thar prawdopodobnie właśnie miał wylecieć z pobliskiego portu, chyba że któryś z tych statków jakie niedawno wystartowały, pochodził z Ryke…

Zastanawiał się, dlaczego Thar nie próbował się z nim skontaktować. Oczywiście, minęło mnóstwo czasu, ale tam z Centrum, byli ze sobą naprawdę blisko. Zadzwonił do wieży kontroli portu.

– Chciałbym się dowiedzieć, czy statek z Rykemana III już wyleciał? – spytał.

– Zgodnie z rozkładem, powinien już sześć godzin temu, ale został opóźniony, z powodu problemów technicznych. Obecnie przewidywany czas startu, to 11.00.

Prawie dwie godziny do odlotu, pomyślał Hockley. Powinno mu spokojnie wystarczyć.

– Proszę połączyć mnie z jednym ze znajdujących się na pokładzie doradców, który nazywa się Walton Thar. Mówi Sherman Hockley z Scientific Services. Wezwanie priorytetowe.

– Natychmiast spróbuję, sir. – W głosie operatora z wieży natychmiast zamanifestował się nagły wzrost respektu. – Jedną chwilę, poproszę.

Hockley usłyszał brzęczenie i trzaski przełączników, próbujących skontaktować się ze statkiem. Potem po chwili usłyszał nieco zirytowany, ale dobrze mu znany, głos swojego starego przyjaciela.

– Waldon Thar, słucham? – oznajmił głos. – Kto chce ze mną rozmawiać?

– Posłuchaj ty stary synu dziewiczej cyklotronowej ciotki! – powiedział Hockley. – A kto niby chciałby z tobą rozmawiać na Sol III? Dlaczego nie dałeś mi znać, kiedy wylądowaliście? Właśnie się dowiedziałem, że tu jesteś.

– Sherm Hockley, oczywiście – odpowiedział głos zdystansowanym, niezmieszanym tonem. – To naprawdę niespodzianka i przyjemność. Uczciwie mówiąc, zapomniałem, że Ziemia była twoją rodzinną planetą.

– Spróbuję wymyślić coś, co następnym razem odświeży ci trochę pamięć. Co powiesz na małe spotkanko?

– No cóż… Nie mam zbyt wiele czasu – z wahaniem odparł Thar. – Gdybyś mógł wpaść tutaj na kilka minut…

Hockleya uderzyło trzeźwiące wrażenie, że Waldon Thar najchętniej uniknąłby okazji do ich spotkania. Spora część entuzjazmu wyparowała z jego głosu.

– Tu w porcie jest dobra, międzyplanetarna, całonocna jadłodajnia i bar. Będę tam za piętnaście minut.

– Świetnie – odparł Thar, – ale proszę, spróbuj się nie spóźnić.

Po drodze do portu kosmicznego, Hockley zastanawiał się nad zmianą, jaka najwidoczniej zaszła w Tharze. Oczywiście, *on* zmienił się również –– być może w większości na gorsze. Ale Thar brzmiał obecnie jak gruba ryba i ważniak, a to była ostatnia rzecz, jakiej Hockley by się po nim spodziewał. W szkole, Thar był największym obrazoburcą z całej kasty nie mających dla niczego szacunku obrazoburców, z ekstazą demaskującym każdy powszechnie utrwalony, a nieudowodniony sąd, posyłającym do diabła profesorów stawiających niepotwierdzone hipotezy. A teraz… no cóż, wcale nie zabrzmiał jak Thar, którego znał Hockley.

Właśnie wybrał stolik i usiadł przy nim, kiedy Thar wszedł na salę. Szeroki uśmiech tego ostatniego, rozproszył wątpliwości Hockleya. Ten uśmiech zupełnie się nie zmienił. Widać w nim było taki sam wyraz diabolicznego lekceważenia dla utrwalonego porządku. I tę samą ciepłą życzliwość. Hockley nie mógł zrozumieć, w jaki sposób Thar mógł nie pamiętać, że Ziemia była jego domem.

Thar od razu o tym wspomniał, kiedy podszedł i uścisnął rękę Hockleya.

– Naprawdę, straszliwie cię przepraszam – powiedział. – To z mojej strony koszmarna głupota, zapomnieć o tym, że Ziemia oznacza Shermana Hockleya.

– Przecież wiem jak to jest. Powinienem był napisać do ciebie. Myślę, że to ja byłem winny ci list.

– Nie, nie wydaje mi się – odparł Thar.

Usiedli po obu stronach małego stolika koło okna, i zamówili drinki. Na lądowisku widać było potężny, ciemny kształt statku Ryke.

Thar pochodził z rasy genetycznie zbliżonej do Rykesów. Nie posiadał pierzastej okrywy, ale zastępowała ją warstwa cienkich łusek, które wykazywały tendencję do najeżania się, kiedy był czymś podekscytowany. On również miał aparat do oddychania, i nosił jego mały zbiorniczek naramienny, z lekkim poczuciem wyższości.

Hockley przyglądał mu się, z narastającym uczuciem straty. Pierwsze wrażenie było jednak bardziej niż trafne. On nie chciał się z nim spotkać.

– Minęło tyle czasu – bez przekonania zaczął Hockley. – Domyślam się, że nie za wiele z rzeczy, które kiedyś razem robiliśmy, dzisiaj ma jeszcze jakiekolwiek znaczenie.

– Nie powinieneś tak mówić – stwierdził Thar, jak gdyby zorientowawszy się, ze zachowywał zbyt duży dystans. – Każda godzina naszej znajomości, wiele dla mnie znaczyła. Nigdy nie wybaczę sobie tego, że zapomniałem… Ale powiedz mi, jak się dowiedziałeś, że jestem na pokładzie statku Ryke?

– Rykesi złożyli nam ofertę. Chciałem się zorientować jakie skutki przyniosła ona dla planet, które ją zaakceptowały. Dowiedziałem się, że Janisson VIII był jedną z nich, a więc zacząłem cię szukać.

– Tak bardzo się cieszę, że to zrobiłeś, Sherm. Chciałeś, oczywiście, żebym potwierdził, sensowność przyjęcia oferty, jaką złożył Liacan.

– Potwierdził ją… albo jej zaprzeczył – powiedział Hockley.

Thar rozłożył swoje szponiaste dłonie.

– Zaprzeczył jej? Najwspanialszej możliwości, jaką tylko może otrzymać planeta?

Coś w głosie Thara, spowodowało, że Hockley poczuł nagły powiew chłodu.

– A jak to wszystko działa na twojej planecie?

– Janisson VIII zmienił się ze slumsu w planetę pełną rezydencji. Nasze problemy ekonomiczne zostały rozwiązane. Zdrowie i długie życie stały się czymś normalnym. Nie ma niczego, czego byśmy chcieli, i o co nie moglibyśmy zapytać.

– Ale czy jesteście z tego *zadowoleni*? Czy nie ma czegoś, z czego musieliście zrezygnować, i bylibyście szczęśliwi gdybyście mogli to odzyskać?

Waldon Thar odrzucił do tyłu głowę i zaczął śmiać się, wysokim, piskliwym tonem.

– Powinienem wiedzieć, że zadasz właśnie tego typu pytanie! Wybacz mi, mój drogi przyjacielu Shermanie, ale niemal już zapomniałem, jak bardzo jesteś wyprany ze skłonności do ryzyka.

– Twoje pytanie jest śmieszne. Dlaczego mielibyśmy chcieć wracać do naszych nierówności ekonomicznych, ubóstwa i strapień, naszych ignoranckich żmudnych postępów w nauce? Sam możesz sobie bez trudu odpowiedzieć na to pytanie.

Przez chwilę siedzieli cicho. Hockleyowi wydawało się, że jego przyjaciel najchętniej natychmiast przerwałby tę wizytę i wrócił na swój statek. Aby temu zapobiec, nachylił się nad stołem i spytał go:

– A wasza nauka… Co się z nią stało?

– Nasza nauka! My nigdy nie mieliśmy czegoś takiego. Byliśmy jak nieświadome małe dzieci, bawiące się piaskiem i kamieniami. Niczego nie wiedzieliśmy. Niczego nie mieliśmy. Dopóki Rykesi nie ofiarowali się, żeby nas kształcić.

– Z pewnością sam w to nie wierzysz – cicho powiedział Hockley. – Ten problem, nad którym pracowałeś w Instytucie – grawitacja na poziomie mikrokosmosu. To nie była dziecinna sprawa.

Thar roześmiał się krótko i gorzko.

– Jakie rozczarowanie czeka cię już niedługo, mój przyjacielu Shermanie! Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo dziecinne naprawdę to było. Zaczekaj tylko dopóki nie nauczysz się od Rykesów prawdziwej koncepcji grawitacji, jej natury i roli jaką odgrywa w budowie materii.

Hockley poczuł jak coś mdlącego zaciska mu się na żołądku. To nie mógł być Waldon Thar, nieokiełznany demon, który kompletnie odrzucał wszystkie autorytety i głoszone przez nich prawdy, w swoim własnym

popędliwym poszukiwaniu wiedzy. Czy to mógł być Thar, ten który biernie siedział, czekając aż mu się powie jaka jest natura Wszechświata?

– A wasi naukowcy...? – napierał na niego Hockley. – Co się stało z waszymi wszystkimi badaczami?

– Odpowiedź jest taka sama – powiedział Thar. – Nie mieliśmy żadnej nauki. Nie mieliśmy więc naukowców. Ci, którzy kiedyś określani byli tą nazwą, w pierwszym rzędzie stali się gorliwymi studentami, zaznającymi przyjemności uczenia się pod kierunkiem naszych mistrzów.

– Czy stworzyliście laboratoria, w których prowadzone są wasze badania, kierowane i nadzorowane przez Rykesów?

– Laboratoria? Nie potrzebujemy żadnych laboratoriów. Mamy warsztaty i sale lekcyjne, w których próbujemy wchłonąć to, co Rykesi odkryli już dawno temu. Być może za jakiś czas, w przyszłości, dotrzemy do punktu, z którego będziemy w stanie sięgnąć do granic wiedzy, naszymi własnymi umysłami, ale obecnie nie wydaje się to prawdopodobne.

– A więc zupełnie zrezygnowaliście ze wszystkich oryginalnych prac, prowadzonych na własną rękę?

– A jakże moglibyśmy inaczej zrobić? Rykesi mają wszystkie odpowiedzi, na wszystkie możliwe pytania, na które starcza nam inteligencji, żeby je zadać. Podążaj za nimi, Sherman. To nie hańba być prowadzonym przez kogoś takiego, jak nauczyciele Ryke.

– Czy nigdy nie tęsknicie do tego – spytał go Hockley, – aby wykonać choć jeden malutki krok na własnych nogach?

– Dlaczego mielibyśmy pełzać, kiedy możemy podróżować statkiem nadświetlnym?

Thar wysączył resztkę swojego drinka i spojrzał w stronę zegara na ścianie.

– Muszę już iść. Mogę zrozumieć kierunek twoich pytań i twoich myśli. Wahasz się, ponieważ możesz stracić szansę zabawy w piaskownicy i liczenia ładnych kamyków w piasku. Ale odrzuć te dziecięce zabawki. Nigdy za nimi nie zatęsknisz!

Uścisnęli sobie ręce i chwilę później Hockley pożegnał się z Tharem, w wejściu na lądowisko.

– Wiem, że Ziemia zaakceptuje ofertę – stwierdził Thar. – A ty i ja, nie powinniśmy tracić kontaktu ze sobą –– ale jeszcze to odrobimy.

Przyglądając się, jak zmierza w stronę ciemnego kadłuba statku, Hockley zastanawiał się, czy Thar naprawdę w to wierzy. W czasie krótszym niż godzina, wyczerpali wszystko to, co mieli sobie do powiedzenia przez dwadzieścia lat. Hockley zdobył informacje, których potrzebował, na temat planu Ryke, ale żałował, że nie pozwoliło mu to pozostawić sobie starych wspomnień, o przyjacielu z czasu studiów. Thar był pijany tym uderzającym do głowy towarem, którym handlowali Rykesi, ale jeżeli to co powiedział było prawdą, to towar ten był na tyle silny, by zatruć całą planetę.

Jego krew mroziła się na samą myśl. Tu chodziło o coś dużo więcej, niż o walkę o National Laboratories. To była walka o uchronienie całej Ludzkości, przed staniem się czymś takim, jak to w co zmienił się Thar.

Gdyby tylko mógł postawić Thara w świetle reflektorów, na jutrzejszym spotkaniu, i pokazać jakim był on przed laty, bez trudu zdobyłby poparcie dla swojego stanowiska. Ale Thar, ani taki jakim był kiedyś, ani ten z dnia dzisiejszego, nie był dostępny jako eksponat wystawowy. Musiał znaleźć inny sposób na to, by pokazać swoim kolegom i senatorom, co mogłaby zrobić z nimi propozycja Rykesów.

Zerknął na zegarek. Pobudka o tej godzinie z pewnością im się nie spodoba. Ale żaden z naukowców nie będzie stawiał dużego oporu, kiedy poprosi ich o wsparcie podczas spotkania z Markhamem. Wrócił z powrotem do baru i zadzwonił do każdego z kolegów, którzy dzisiejszego dnia wcześniej byli u niego na spotkaniu.

Kiedy następnego dnia, o dziesiątej rano, wszyscy zebrali się już razem, jako pierwszy do głosu wywołany został Hockley. Powoli podniósł się ze swojego fotela, stojącego w pobliżu siedzenia Markhama, i popatrzył z góry, na nieco zaintrygowane twarze naukowców.

– Nie wiem, czy mogę mówić w imieniu całego grona obecnych tutaj naukowców – rozpoczął. – Spotkaliśmy się wczoraj i stwierdziliśmy, że istnieją między nami pewne różnice zdań, co do opinii na temat tej oferty. Prawdą jest bowiem, że w przytłaczającej większości ją popieramy, tym niemniej jednak pozostają pewne pytania, które do tego by można na nie właściwie odpowiedzieć, jak uważamy, wymagają dodatkowych danych.

– Zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, ze oficjalna akceptacja w tej sprawie, może zostać przekazana Rykesom bez aprobaty żadnego z naukowców. Wydaje się jednak, że jedyne uczciwe podejście do rzeczy polegać musi na wykorzystaniu każdej możliwości przeprowadzenia, czegoś co można uznać za odpowiednie badania, na podstawie których moglibyśmy wyrazić naszą opinię.

– Dla ludzi nie będących naukowcami –– i być może dla bardzo wielu z moich kolegów –– wydawać się może niepojętym, że w ogóle mogą powstać tutaj jakiekolwiek pytania. Ale my zastanawiamy się nad pozycją ucznia, jaką będą zmuszone przyjąć przyszłe pokolenia, zastanawiamy się nad szczegółami związanymi z administracją samego programu, zastanawiamy się nad ogólnymi efektami, jakie program ten spowoduje w naszym społeczeństwie, jako całości. Chcielibyśmy prosić panów o pozwolenie na wykonanie dalszych badań w tej kwestii, w celu znalezienia odpowiedzi na te, oraz wiele innych pytań. Prosimy również o pozwolenie na podróż, jako zorganizowany komitet, na Rykemana III i sprawdzenie u źródła, co Rykesi proponują nam byśmy zrobili, w jaki sposób będą nas uczyć i jak będą dystrybuować informacje, które tak szczodrze oferują.

– Proszę, abyście panowie bardzo poważnie to wszystko rozważyli, złożyli na ręce Rykesów oficjalną prośbę, aby zorganizowali nam możliwość przeprowadzenia takich badań, oraz żebyście panowie przydzielili niezbędne środki dla tej podróży. Uważam to za rzecz najbardziej pilną, która musi być zrobiona natychmiast.

Kiedy Hockley usiadł, pomiędzy członkami komisji Kongresu, przebiegł szmer zainteresowania i dezaprobaty. Senatorowie nachylali się do swoich sąsiadów, by wymieniać szeptem opinie między sobą, ale Hockley zauważył, że naukowcy pozostawali spokojni i niewzruszeni. Miał nadzieję, że pozyskał ich sobie swoją rozmową, jaką przeprowadził z nimi telefonicznie, wczesnym rankiem. Spodobał im się pomysł zdobycia dodatkowych danych. Poza tym większość z nich, sama z siebie, chciałaby zobaczyć Rykemana III.

Senator Markham w końcu wstał, w widoczny sposób zbity z tropu przez niespodziewaną propozycję Hockleya.

– Nam, członkom Komitetu, wydaje się, że dosyć trudno jest uzasadnić potrzebę pozyskania innych danych niż te, które już są dla nas dostępne. Wspaniałe skutki wykorzystania wiedzy Ryke na innych zacofanych planetach, są powszechnie znane.

– Z drugiej strony, doceniamy wasze kwalifikacje, panowie, które powodują, że prośba panów wydaje się usprawiedliwiona. Będziemy musieli to jeszcze dokładniej przedyskutować, ale w tej chwili uważam, że mogę stwierdzić, że popieram panów prośbę i będę zachęcał mój Komitet, aby wziął ją poważnie pod rozwagę.

Wiele rzeczy powiedziano jeszcze na ten temat, w tym i w następnych dniach. Nowiny na temat oferty Ryke nie zostały przekazane do wiadomości publicznej, ale wylądowania statku Rykesów, nie można było ukryć. Rozeszły się wieści, że Liacan udał się ze swoją ofertą na inne planety i zaczęto spekulować, czy została ona również złożona Ziemi. Podnosiły się gniewne głosy, wypytujące dlaczego nie wyjaśniono wszystkim celu wizyty, ale rząd zachowywał milczenie, jednocześnie rozważając prośbę Hockleya.

Spotkała się ona z kwaśnymi debatami na zamkniętych posiedzeniach, ale w końcu wydano zgodę aby na Rykemana III udała się oficjalna delegacja, złożona z dziewięćdziesięciu naukowców i dziesięciu senatorów.

Tego nie dało się już ukryć, tak więc nagięto nieco fakty i rozpowszechniono wiadomość, że grupa miała negocjować na temat partycypacji w programie Ryke zaproponowanym innym planetom, ponieważ wizyta Liacana nie miała charakteru ostatecznego.

W dniach poprzedzających start, Hockley czuł brzemię przeznaczenia, ciężko spoczywające na jego ramionach. Czytał każde słowo ze strumienia opinii, który przepływał przez prasę. Każdego chyba komentatora i felietonistę poproszono o przeprowadzenie przez niego własnej, specyficznej analizy możliwości łączących się z wizytą na Rykemanie III. I wszystkie opinie były niemal identyczne, głosząc że skorzystanie z tego co dają Rykesi, byłoby drogą do Utopii. Hockley czuł się zdegustowany, widząc tę masową reakcję na syreni śpiew Rykesów.

Kiedy w końcu nadszedł ten dzień, i olbrzymi statek transportowy wzniósł się dostojnie w przestrzeń kosmiczną, Hockley poczuł niesamowitą ulgę.

Większość grupy siedziała w salonie statku i oglądała na panelu telewizyjnym oddalającą się pod nimi Ziemię. Senator Markham wygląda na zdenerwowanego i niemal wystraszonego, pomyślał sobie Hockley, tak jakby umknęło mu coś nieuchwytnego.

– Mam nadzieję, że nie marnujemy niepotrzebnie czasu – stwierdził Markham. – Nie to, żebym nie rozumiał pańskiego stanowiska – dodał pośpiesznie, by pokryć ton antagonizmu, który jak sam wyczuł, wkradł się do jego głosu.

– Doceniamy pańskie poparcie – odparł Hockley, – i zrobimy wszystko, co tylko będziemy mogli, aby czas poświęcony na to sprawdzenie, nie był czasem zmarnowanym.

Później, kiedy Silvers i Hockley znaleźli się sami, gdzieś na stronie, matematyk rozmawiając z nim, wyraził się dużo jaśniej. Utracił już część tej gwałtownej bombastyczności, jaką charakteryzował się na początku. Została ona zastąpiona przez głębokie, silne przekonanie, że nie wolno pozwolić na to, aby coś stanęło na drodze aliansu Ziemi z Ryke.

– Wszyscy dobrze rozumiemy, dlaczego chciał pan, abyśmy z panem polecieli – powiedział. – Wiemy, że uważa pan, że to opóźnienie ostudzi nasz entuzjazm. Tylko, aby być fair, muszę panu powiedzieć, że tak się nie stanie. Najbardziej tylko nas wszystkich zdumiewa, w jaki to sposób ma pan zamiar zmienić nasze nastawienie, zabierając nas na ojczystą planetę Rykesów. Jestem absolutnie pewien, że odniesie pan odwrotny skutek. Zamierzamy jasno pokazać Rykesom, że akceptujemy ich ofertę. Mam nadzieję, że nie planuje pan składać deklaracji przeciwnej treści.

Hockley przez cały czas utrzymywał wzrok na ekranie, obserwując zieloną sferę Ziemi.

– Nie mam zamiaru wygłaszać oświadczeń żadnego rodzaju. Byłem absolutnie szczery, kiedy mówiłem, że dzięki tej wizycie powinniśmy zyskać głębsze zrozumienie Rykesów. Wszyscy się ze mną panowie zgodziliście. Nie miałem na myśli ni mniej, ni więcej, niż to co powiedziałem. Mam nadzieję, że nikt w naszej grupie nie uważa inaczej.

– Nie wiemy co sądzić – odparł Silvers. – Tylko po prostu zastanawiamy się między sobą, w jaki sposób spodziewa się pan zmienić nasze poglądy.

– Wcale nie mówiłem, że to jest moim zamiarem.

– A czy może pan powiedzieć, że tak nie jest?

– Nie, tego nie mogę powiedzieć. Ale pańskie pytanie jest niepełne. Moją jedyną intencją jest dowiedzieć się, tak dogłębnie, jak to tylko będzie możliwe, jakie mogą być skutki aliansu z Rykesami. Jeżeli panowie stwierdzicie, że będą one niekorzystne, to będzie to rezultat waszych własnych bezpośrednich obserwacji i kalkulacji, a nie moich argumentów.

– Może pan być pewien, ze to akurat nigdy nie nastąpi – oznajmił Silvers.

Miesiąc zajęła podróż do punktu transferowego, w którym mogli przesiąść się na statek handlowy, wykorzystujący zasadę działania

wynalezioną przez Rykesów. W ciągu kolejnego tygodnia, pokonali odległość kilka tysięcy razy większą, niż ta którą przebyli wcześniej. A potem znaleźli się na Rykemanie III.

Kilku z członków delegacji, odwiedzało już poprzednio tę planetę, podczas wycieczek wakacyjnych, rutynowych ekspedycji badawczych, ale większość z nich widziała ją po raz pierwszy. Jeszcze kiedy byli w kosmosie, w znacznej odległości od niej, grupa zaczęła się tłoczyć przed ekranami wizyjnymi, pozwalającymi oglądać z dużej wysokości ulice i budynki miast. Mogli dojrzeć nawet pojedynczych ludzi, którzy po nich chodzili i jeździli.

Na ten widok Hockley wciągnął mocno powietrze i opanowały go wątpliwości, a uporczywy głos w myślach przekonywał go że jest całkowitym i kompletnym głupcem. Znajdujące się pod nimi miasto, wyglądało jak klejnot perfekcji. Budynki nie były stapiającą się w jedno masą murów, metalu i plastiku, zwalonych na kupę, bez żadnego względu na końcowy efekt. Przeciwnie, całe miasto było jednością, utworzoną mając na oku estetyczną doskonałość.

Obok Hockleya stał Silvers.

– Mamy szansę doprowadzić do tego, aby Ziemia wyglądała tak samo – rzucił matematyk.

– Brakuje nam tylko jednej rzeczy – odparł Hockley. – Ceny. Nadal musimy się dowiedzieć, jaki będzie tego koszt.

Na lądowisku, Ziemianie zostali powitani przez grupę podobnych do ptaków gospodarzy, którzy pośpieszyli do każdego z nich, przedstawiając się swoimi charakterystycznymi wysokimi i świszczącymi głosami. Wsiedli do autobusów, którymi przejechali przez połowę miasta, do budynku stojącego obok rozległego terenu parkowego.

Ewidentnie był to budynek przeznaczony do przyjmowania takich właśnie delegacji jak ziemska, dając Hockleyowi dowód, że być może jego pomysł nie był mimo wszystko taki oryginalny. Znalezienie się w środku, było po krótkiej podróży przez miasto, prawdziwą ulgą. Panujące wewnątrz siła ciężkości, temperatura i ciśnienie powietrza, powielały panujące na Ziemi, a warunki te mogły być zmieniane, aby przystosować pomieszczenia dla wielu odmiennych gatunków. Hockley był pewien, że po kilku dniach przyzwyczai się do warunków panujących na zewnątrz, ale obecnie dłuższe przebywanie na dworze, było za bardzo wyczerpujące.

Pokazano im ich indywidualne kwatery, a następnie dostali wolny czas na rozpakowanie się i rozejrzenie po wyposażeniu pokoi. Umeblowanie było przystosowane do ich wymiarów i potrzeb. Jedynym niedopatrzeniem, jakie zdołał znaleźć Hockley, był leciutki zapach chloru, unoszący się w szafkach. Zastanawiał się, kim był ostatni mieszkaniec zajmowanego przez niego pokoju.

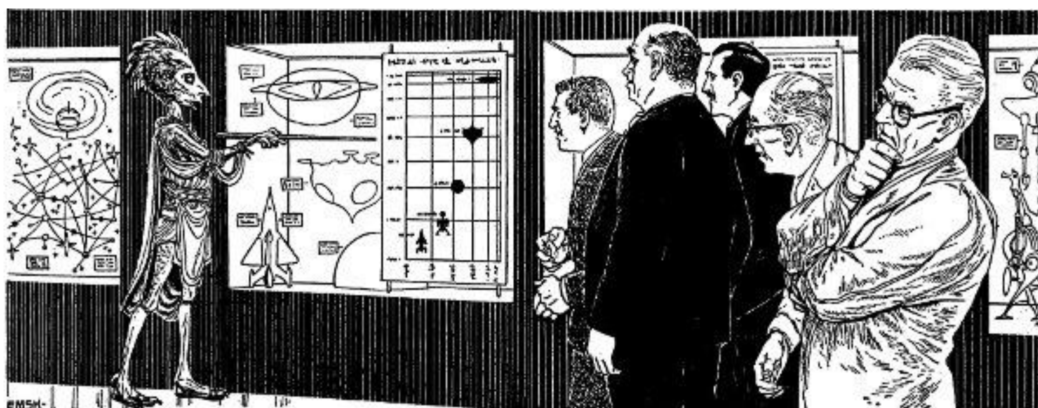
Po południowym posiłku, na który zaserwowano żywność będącą zadziwiająco dobrym przybliżeniem ich rodzimej diety, grupie oferowano preludium do ogólnego instruktażu i indoktrynacji, jaka miała rozpocząć się następnego dnia. Odbywało się to w formie wycieczki z przewodnikiem po muzeum nauki, które, jak zauważył Hockley, było zmodernizowanym na modłę Rykesów odpowiednikiem czcigodnego Smithsonian, na Ziemi.

Wycieczka była absolutnie opcjonalna, przynajmniej jeżeli chodzi o zaplanowany przez Rykesów program, ale żaden z Ziemian nie zrezygnował z udziału w niej.

W ciągu całej drogi przez miasto i podczas oglądania prac Rykesów, Hockley usilnie starał się skoncentrować na Waldonie Tharze i przez cały czas utrzymywać przed oczyma obraz swojego przyjaciela. Odkrył, że pomaga mu to wytłumić respekt i chęć podlizywania się, jakie miał ochotę dzielić ze swoimi towarzyszami.

Możliwe nawet było, jak stwierdził, przyjęcie postawy czegoś w rodzaju, zaczepnego cynizmu, do podejścia jakie w stosunku do nich użyli Rykesi. Wizyta w muzeum nauki, *mogła być* próbą pchnięcia ich na tory akceptacji trwającej od eonów wyższości Ryke w dziedzinie nauk. A przynajmniej taki właśnie wpływ najprawdopodobniej na nich wywarła. Hockley przeklął swoje własne poczucie ignorancji i niższości, które wdzierało się do jego umysłu, w miarę jak przewodnik spokojnie prowadził ich koło prac mistrzów, wygłaszając skąpe tylko komentarze, pozwalając aby sami wyprowadzili dla siebie co bardziej oczywiste zależności.

Na olbrzymim diagramie, pokazującym rozwój techniki lotów kosmicznych, statki atomowe dosyć podobne do najlepszych osiągnięć Ziemian, znajdowały się na samym dole wykresu, bardzo blisko najwcześniejszych prób Rykesów, by wykuć swoją drogę w kosmos. Ponad tym poziomem, znajdowała się niewiarygodna seria odkryć, niezrozumiała dla większości z Ziemian.



A na wszystkie ich pytania, przewodnik miał tylko jedną, monotonną odpowiedź.

– To zostanie wyjaśnione panom później. Teraz, chcemy jedynie dać panom ogólny obraz naszej cywilizacji, na obecną chwilę.

To jednak było za mało dla jednego z astronomów, o nazwisku Moore, który przesunął się w tłumie przed Hockleya. W miarę powtarzania przez przewodnika kolejnych wymijających odpowiedzi, Hockley widział, jak kark Moore'a zaczyna robić się coraz bardziej czerwony. W końcu astronom wymusił dyskusję, dotyczącą zalet pewnych systemów porównywania jasności gwiazd, które przewodnik pokazał im w skrócie. Przewodnik, z wielkim rozdrażnieniem, wybuchnął strumieniem wyjaśnień, który kompletnie stłamsił wszelkiego rodzaju opinie, jakie mógłby wygłosić

Moore. Ale w tym samym czasie astronom uśmiechnął się przyjaźnie do Rykesa.

– To powinno wystarczyć – powiedział. – Założę się, że nie będę potrzebował nawet tygodnia, żeby zmienić nasz system na Ziemi.

Sukces Moore'a, rozluźnił opory innych, i zaczęli bezlitośnie bombardować przewodnika swoimi opiniami, pytaniami i porównaniami –– a nawet łagodnymi wyrazami dezaprobaty. Rosnące rozdrażnienie przewodnika było oczywiste –– i przyjemne, przynajmniej dla Hockleya, który pozostał na boku. Wystraszyło natomiast Markhama i niektórych innych senatorów, którzy nie byli w stanie wziąć udziału w dyskusji. Jednak większość naukowców, nawet tego nie zauważyła, w swojej gorliwej żądzy nauczenia się czegoś nowego.

Tego wieczora, po kolacji, zebrali się w salonie i oglądali swoje kwatery. Markham stanął koło Hockleya i ostrożnie skosztowali koktajli, jakie próbowali dla nich zduplikować Rykesi. Senatorowi powrócił dobry humor, rozpraszając cienie wszelkich trosk, jakie czuł podczas wydarzeń dzisiejszego popołudnia.

– Co za wspaniały dzień! – powiedział. – Nawet jeżeli ta wizyta opóźnia zakończenie naszych rozmów z Rykesami, wszyscy tutaj obecni będziemy panu bezgranicznie wdzięczni za jej zaproponowanie. Nic nie mogło wywrzeć na nas większego wrażenia, i dobitniej wskazać korzyści z przyjęcia protekcji Ryke. To był genialny pomysł, doktorze Hockley. A swego czasu myślałem, że pan tak faktycznie, to jest przeciwko Rykesom!

Pociągnął łyka ze swojego kieliszka, podczas gdy Hockley nic mu nie odpowiedział. Potem jego brwi lekko się zmarszczyły.

– Zastanawiam się tylko, dlaczego nasz przewodnik skrócił dzisiejszą popołudniową wycieczkę. O ile sobie dobrze przypominam, na początku powiedział, że było tam dużo więcej do obejrzenia, niż faktycznie nam pokazał.

Hockley uśmiechnął się i uprzejmie również wziął łyk swojego drinka, a następnie odstawił go i odwrócił się twarzą do senatora.

– Tak sobie myślałem, czy ktoś jeszcze oprócz mnie to zauważył – powiedział.

Tej nocy Hockley spał całkiem dobrze, może za wyjątkiem faktu, że z różnych kątów pokoju zdawały się dolatywać sporadyczne powiewy chloru, nawet pomimo tego, że włączył system klimatyzacyjny na pełny nawiew.

Rano rozpoczęła się seria specjalistycznych wykładów, które zostały przygotowane zgodnie z sugestią Ziemian, aby zaznajomić ich z tym co będą mogli otrzymać, dzięki akceptacji oferty Ryke.

W ewidentny sposób widać było, że dla Rykesów nie jest to jakieś nowe doświadczenie. Wykłady były dobrze przygotowane i przewidziano w nich z góry wiele pytań, jakie mogliby zadać słuchacze. Jedyną nową rzeczą jaką musieli zrobić, pomyślał sobie Hockley, to przetłumaczenie materiałów na język Ziemian. Poza tym, czuło się że było to coś

przygotowanego już dawno temu i wykładanego tysiące razy, a może nawet więcej.

Zostali podzieleni na mniejsze grupy, zgodnie ze swoimi specjalnościami, ludzie zajmujący się elektroniką, poszli jedną ścieżką, astronomowie i fizycy matematyczni drugą, a chemicy i specjaliści od fizyki ogólnej, jeszcze w innym kierunku. Hockley, Showalter i senatorowie, traktowani byli jako mniej lub bardziej swobodni członkowie delegacji, którzy mają przywilej odwiedzania tej czy innej grupy, w zależności od ochoty.

Hockley zdecydował się spędzić pierwszy dzień z chemikami, ponieważ właśnie chemia była jego największą miłością. Doktor Showalter i senator Markham poszli razem z nim. Pomimo tego, że starał się jak mógł, stwierdził że faktyczną niemożliwością jest, nie siedzieć w oczarowaniu z rozdziawionymi ustami, podobnie jak to robili jego koledzy. Niemal natychmiast, z wolna rozwijająca się narracja wykładowcy Ryke, poprowadziła ich bezpośrednio poza granice ich własnej wiedzy, ale prowadziła tak ostrożnie, że wydawało im się, iż musieli w ten sposób rozumować już wcześniej, tylko potem o tym zapomnieli.

Hockley czuł częściowo gniew na samego siebie. Odnosił wrażenie, że pozwolił się zahipnotyzować przez wiedzę Ryke, i z rozpaczą zaczął się zastanawiać, czy istnieje jakakolwiek możliwość walki z ich podejściem. Doświadczenia z tego dnia, i kilku następujących bezpośrednio po nim, nie dały mu żadnych wskazówek. Ciągle jednak pokładał jeszcze nadzieję w tym, że działania przewodnika, który radykalnie skrócił ich wycieczkę po muzeum, będą miały jakieś poważniejsze znaczenie.

Wieczorami, w saloniku dormitorium, prowadzili niekończące się zażarte dyskusje, wymieniając między sobą i przetrawiając to co im pokazano w ciągu dnia. Na koniec trzeciego dnia, Hockley pomyślał sobie, że zaczyna wyczuwać subtelną zmianę w nastrojach grupy. Początkowo miał pewne trudności z jej dokładniejszym przeanalizowaniem. Wygadało to trochę, jak narastające ożywienie, coś w rodzaju powrotu do normalności. Dopiero potem zorientował się, że to zaczyna mijać początkowa paraliżująca reakcja na wielkość Ryke. Spotkanie z Rykesami wstrząsnęło nimi wszystkimi, niemal tak jakby dostali pałką po głowie. Przez jakiś czas odłożyli na bok swoje własne zdolności krytyczne i analityczne, i bez protestu poddali się wpływowi Rykesów.

Teraz zaczęli z tego wychodzić, przeskakując do stanu ducha dużo bliższego normalności. Hockley poczuł narastający przypływ otuchy, w miarę jak w buzujących wszędzie dookoła debatach, zaczął dostrzegać coraz więcej krytycznych ocen. Entuzjazm stawał się coraz bardziej umiarkowany.

Jednak dopiero następnego wieczora, stał się świadkiem pierwszego wydarzenia wskazującego na bardziej radykalną zmianę czyjegoś nastawienia. Skończyli właśnie kolację i stopniowo zbierali się w salonie, przekomarzając się i tworząc grupki, które miały toczyć ożywione dyskusje, trwające aż do godzin długo po północy. Większość z nich gdzieś już się porozsiadała, biorąc udział w konwersacjach, albo przysłuchując się

im w milczeniu, kiedy nagle wszyscy zdali sobie sprawę ze zmiany atmosfery panującej w pomieszczeniu.

Przez moment trwało generalne kręcenie głowami, ponieważ każdy próbował zlokalizować źródło dręczącego go niepokoju. Hockley nie był w stanie powiedzieć, co go skłoniło do rozglądania się dookoła, ale nagle uświadomił sobie, że do pokoju wszedł doktor Silvers, wodzący powoli wzrokiem po wszystkich w nim zebranych. Coś w jego wyglądzie, przywodziło na myśl nagle pojawiającą się burzową chmurę, a jego twarz zdawała się odzwierciedlać ciemną turbulencję, letniej nawałnicy.

Do nikogo jednak się nie odezwał, tylko przeszedł przez środek i usiadł koło Hockleya, który w tej chwili właśnie siedział samotnie, paląc przedostatnie ze swoich cygar, przywiezionych z Ziemi. Hockley wyczuł tlące się we wnętrzu matematyka wzburzenie. Wyciągnął swoje ostatnie cygaro, ale Silvers odsunął je od siebie.

– To ostatnie – delikatnie zasugerował mu Hockley. – Pomimo wszystkich możliwości Rykesów, ich imitacje, są jakieś mniej naturalne.

Silvers powoli odwrócił się twarzą w twarz do Hockleya.

– Przedstawiłem im dzisiaj problem równań Legranda – powiedział. – Oczekiwałem, że otrzymam bezpośrednią odpowiedź na absolutnie uprawnione naukowe pytanie. Czy nie tego właśnie mieliśmy od nich oczekiwać?



Hockley skinął potwierdzająco głową.

– Takie było również i moje wrażenie. Czy otrzymał pan coś innego, niż bezpośrednią odpowiedź?

Matematyk głośno sapnął.

– Równania Legranda, prowadzić będą do geometrii równie rewolucyjnej, jak w swoich czasach, geometria Riemanna. Ja jednak otrzymałem od Rykesów odpowiedź, że powinienem zrezygnować ze wszelkich dalszych rozważań w tym kierunku. Nie prowadzą one do żadnego wartościowego odkrycia matematycznego.

Hockley poczuł, że jego serce niemal z pewnością opuściło jedno uderzenie, ale udało mu się zachować niezachwiany i współczujący głos.

– To bardzo niedobrze. Wiem jak duże wiązał pan z tym nadzieje. Przypuszczam, że teraz da pan sobie spokój z pracą nad tymi równaniami?

– Nie mam zamiaru! – głośno zawołał Silvers. Pobliskie grupki ludzi, które z wahaniem wróciły do swoich własnych rozmów, teraz ponownie mu się przypatrywały. Nagle jednak zmienił ton i spojrzał na Hockleya niemal błagalnie. – Nie rozumiem tego. Dlaczego mieliby powiedzieć coś takiego? To wydaje się być jedna z najbardziej wartościowych ścieżek badawczych, jakie napotkałem w całej swojej karierze. A Rykesi kompletnie to ignorują!

– I co pan powiedział, kiedy kazali panu z tego zrezygnować?

– Powiedziałem, że chciałbym wiedzieć, dokąd to odkrycie mogłoby doprowadzić. Powiedziałem również, że obiecano nam odpowiedź na każdy

problem naukowy, pod warunkiem, że odpowiedzi te pozostają w zasięgu naszych możliwości, a z tego co już wiem, ta z pewnością do takich należy.

– Instruktor odparł na to, że odpowiedź na moje pytanie została udzielona, oraz że „jeżeli chcę osiągnąć ich tempo w nauce, to pierwszą lekcją jakiej muszę się nauczyć, to uświadomić sobie, że oni podążali już tą ścieżką, na długo przede mną. Wiedzą, że istnieją inne możliwości, które są warte badań. Udało im się osiągnąć ich szybkość rozwoju, omijając wszelkie ścieżki poza główną, i nie tracąc czasu na złudne pokusy pobocznych dróg".

– Powiedział jeszcze, ze musimy nauczyć się im ufać i przyjmować ich decyzje odnośnie poprawnych i wartościowych obszarów badawczych, że „będą nam pokazywać którędy iść, tak jak zgodzili się to robić. Jeżeli nie chcemy zaakceptować ich przewodnictwa pod tym względem, to cała umowa, jest bezsensowna". Czyż nie jest to wspaniały sposób na osiągnięcie postępu naukowego!

Matematyk przesunął się na swoim krześle, jakby próbując opanować drążącą go furię, której nie mógł skryć. Nagle wyciągnął rękę.

– Pomimo wszystko jednak wziąłbym to cygaro, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, Hockley.

Z gwałtowną energią odgryzł końcówkę i przypalił cygaro, a potem wydmuchnął gigantyczną chmurę dymu w stronę sufitu.

– Wydaje mi się, że problem musi leżeć w naszym wykładowcy – stwierdził. – On jest po prostu szalony. To niemożliwe aby reprezentował zwykłe podejście Rykesów. Obiecali, że udzielą odpowiedzi na nasze problemy –– a zamiast tego otrzymuję jakiś kompletny nonsens. Mam zamiar spotkać się z kimś wyżej i dowiedzieć się, czy nie możemy dostać wykładowcy, który wie o czym mówi. Albo może raczej to pan albo Markham pchnęlibyście to wyżej –– przez kanały oficjalne?

– Ale Rykes miał rację – wskazał Hockley. – On *udzielił* panu odpowiedzi.

– W taki sam sposób mógłby odpowiedzieć na wszystkie nasze pytania!

– Ma pan zupełną rację – zgodził się z nim Hockley. – Mógłby zrobić dokładnie tak samo.

– Ależ oczywiście że tego nie zrobią – defensywnym tonem powiedział Silvers. – Jeżeli ten szczególny osobnik, nie wpuszcza nas w maliny, to moje pytanie jest po prostu przypadkiem specjalnym. Najzwyczajniej jest to tylko jakieś konkretne zagadnienie, które oni uważają za pozbawione wartości. Być może na koniec przyznam, że mieli co do tego rację… ale mam zamiar znaleźć rozwiązanie tych równań, nawet gdyby miało to zająć resztę mojego życia!

– Pomimo wszystko, przyznali przecież, że oni nie znają rozwiązania, że nie zadali sobie trudu, aby pójść tą konkretną ścieżką poboczną, ponieważ odłożyli ją na bok. Jeżeli nią nie podążymy, to w jaki sposób dowiedziemy się, czy jest ona wartościowa, czy nie? Skąd Rykesi mają wiedzieć, czy czegoś nie tracą, robiąc inaczej?

– Na to pytanie nie potrafię panu odpowiedzieć – przyznał Hockley. – Niezależnie czy w ich przypadku czy w naszym, nie znam innego sposobu przewidzenia wyników określonej ścieżki badań, niż podążyć nią i dowiedzieć się, co znajduje się na końcu drogi.

Kiedy w końcu, późno w nocy, Hockley położył się do łóżka, nie spał za dobrze. Silvers oferował mu przełom, którego oczekiwał i na który miał nadzieję. Pierwsza szpara w pancerzu świętości, otaczającym Rykesów. Teraz zastanawiał się, co z niej wyniknie, czy rozwinie się ona w śmiertelną ranę, tak jak tego pragnął, czy też pozostanie jedynie bolesnym skaleczeniem, która w końcu jednak się zagoi i zostanie zapomniane.

Nie przypuszczał, żeby miał to być jedyny incydent tego rodzaju. Będą kolejne, kiedy otępienie Ziemian, wynikające ze ślepej akceptacji, zacznie ustępować miejsca zdrowej, krytycznej ocenie. A za każdym razem będzie to inny z delegatów, raczej na pewno nie ten sam po raz kolejny. Nie ważne jak sobie to w końcu zracjonalizuje, doktor Forman K. Silvers nigdy już nie będzie czuł w stosunku do Rykesów tego samego, co przed odrzuceniem przez nich jego ukochanego poletka badań.

Hockley wstał wcześnie, pełen zapału, skoncentrowany, ze wszystkimi zmysłami wyczulonymi na kolejne oznaki niezadowolenia, które mogłyby gdzieś znienacka wyskoczyć. Tego dnia na porannym wykładzie, ponownie przyłączył się do grupy chemików. Duch panujący w grupie był znacząco lepszy, niż wtedy gdy był na ich spotkaniu za pierwszym razem. To, co pokazywali im Rykesi, mocno ich inspirowało, ale obudziło także ich własne poczucie zdrowego rozsądku.

Wykładowca Ryke zaczął wypisywać na tablicy gigantyczny wzór strukturalny jakiegoś związku organicznego, dla wygody swojej widowni, używając konwencji pochodzących z chemii ziemskiej. Objaśniał do pewnego poziomu cały szereg transformacji, które mogły zostać wykonane w prezentowanym związku, przy pomocy pól o wysokiej intensywności.

Niemal natychmiast, jeden z młodszych chemików, doktor Carmen, zerwał się na nogi, wykrzykując z podnieceniem, że jedna z tych transformacji prowadzi do środka chemicznego, nad którym prowadził obszerne badania. Wytworzył go na tyle dużo, by dowiedzieć się, że ma on całą paletę intrygujących właściwości, a teraz rozgorączkowało go odkrycie metody jego masowej produkcji, jak również dalszych jego transformacji.

W odpowiedzi na ten nagły wybuch entuzjazmu, twarz wykładowcy przybrała wyraz, który już nauczyli się rozpoznawać, jako bardzo surowy.

– Ta seria transformacji nie jest przedmiotem naszego zainteresowania – stwierdził. – Po prostu pokazywałem panom, że jest możliwa, aby zaprezentować kierunki, z których powinno się zrezygnować. Tutaj widzicie panowie kierunek, w którym chciałbym żebyśmy poszli.

– Ale przecież nigdy chyba nie widział pan niczego innego, co by miało podobne własności! – zaprotestował Carmen. – Ta substancja przechodzi

przez niewiarygodną serię, co najmniej trzech przejść fazowych, między ciałem krystalicznym i płynem, wyłącznie pod wpływem wzrostu ciśnienia. Ale przy użyciu właściwej regulacji dopływu ciepła, może utrzymać się w stanie krystalicznym, niezależnie od wartości ciśnienia. Substancja ta jest blisko związana z zestawem środków farmaceutycznych o własnościach znieczulających, i jest niemal pewne, że byłaby bardzo przydatna w…

Wykładowca Ryke uciął ostro dyskusję.

– Wyjaśniłem już, jakim kierunkiem transformacji, będziemy się zajmować. Nie powinni panowie interesować się niczym, poza granicami wytyczonymi przez nasze badania, które potwierdziły się jako właściwa droga studiów i dociekań naukowych.

– A więc powinienem zrezygnować z badań nad tym zestawem środków chemicznych? – spytał go Carmen, dając pokaz zewnętrznego opanowania i spokoju.

Rykes skinął potwierdzająco głową, z przyjemnością przyjmując domniemaną uległość Carmena.

– Dokładnie tak. Przemierzyliśmy ten teren już dawno temu. Wiemy gdzie leżą obszary wartościowych badań. Powiemy wam, co obserwować, a co ignorować. Jak moglibyście mieć nadzieję na znaczniejszy postęp, jeżeli będziecie się zatrzymywać, żeby dokładnie sprawdzić każdą alternatywną możliwość i sposobność, która stanie wam przed oczyma? – Energicznie pokręcił głową, a jego pióra aż drżały z emocji.

– Musicie mieć jakiś plan – przemawiał dalej. – Cel. Badania Wszechświata, nie mogą być prowadzone w sposób losowy, chaotyczny. Musicie wiedzieć, co chcecie znaleźć, a następnie zorientować się gdzie tego szukać.

Carmen powoli usiadł. Hockley był pewien, że Rykes nie zauważył wybrzuszeń napiętych mięśni na szczęce chemika. Być może nawet jeżeli je dostrzegł, to nie zrozumiał ich znaczenia.

Tego dnia, Hockley pojawił się na lunchu w jadalni, nieco spóźniony. Zanim tam dotarł, zaczęły stamtąd dolatywać odgłosy przypominające niemal ul pełen rozzłoszczonych pszczół. Kiedy wszedł do środka, wypełniający pomieszczenie zgiełk rozmów, niemal wypchnął go z powrotem za drzwi.

Powoli przeciskał się przez środek sali, szukając dla siebie stolika. Zatrzymał się na chwilę za plecami doktora Carmena, który w niezbyt miłych i łagodnych słowach, wygłaszał swoją opinię na temat systemu, narzucającego z góry te obszary badań, w jakie wolno się zagłębić, i te w jakie nie powinni. Hockley lekko się uśmiechnął, pochwyciwszy spojrzenie jednego z kilkunastu chemików siedzących przy stole i przysłuchujących się tyradzie.

Idąc dalej zauważył, że również Silvers zdybał kilku swoich kolegów z tej samej dziedziny, i zagłębił z nimi się w gorącą dyskusję –– jednak w znacznie bardziej stonowany sposób, niż poprzedniego wieczora z Hockleyem, czy też niż obecnie doktor Carmen.

Całe pomieszczenie aż huczało od gwaru podnoszonego przez podobne grupy.

W czasie minionych dni, senatorowie próbowali wtapiać się w tłum pozostałych, zazwyczaj jednak raczej z niewielkimi sukcesami, ponieważ byli niemal kompletnie wykluczeni z możliwości dyskusji. Dzisiaj kompletnie nie mieli szczęścia. Siedzieli skupieni razem, przy kilku stolikach w rogu. Zdawało się, że żaden z nich nie zwraca najmniejszej uwagi, na stojące przed nim jedzenie, wszyscy tylko rozglądali się dookoła, z lekkim niepokojem przypatrując się współbiesiadnikom przy kolacji –– którzy zresztą także nie zwracali uwagi na jedzenie.

Hockley przebiegł spojrzeniem po twarzach polityków, i wyczuł ich konsternację. W powietrzu unosił się niemal namacalny nastrój niepokoju. Senatorowie wyglądali na lekko wystraszonych przez coś, co czuli, ale czego nie potrafili zrozumieć.

W końcu uwagę Hockleya przyciągnęło gwałtowne wymachiwanie ręką Showaltera, i ruszył w stronę niewielkiego stolika, jaki zajął dla nich jego asystent. Showalter również był zaniepokojony z powodu panującej w pomieszczeniu atmosfery.

– Co się dzieje, u diabła? – spytał. – Wygląda jakby tego ranka ktoś ich wszystkich nieźle pogonił. Nigdy nie wiedziałem żeby ta zgraja była taka rozdrażniona. Myślałbyś, że wstali dzisiaj z łóżek lewą nogą.

– Nic nie wiesz? – powiedział Hockley. – Nie byłeś dzisiaj rano na żadnym z wykładów?

– Nie. Paru senatorów zaczęła nudzić ta cała naukowa gadanina, tak więc pomyślałem sobie, że zostanę z nimi i spróbuję ich trochę zabawić. Pojechaliśmy do miejsca, które tutaj uchodzi za rozrywkę, ale widowisko nie było specjalnie lepsze niż wykłady. Powiedz mi, o co chodzi.

Pokrótce Hockley opisał wczorajsze zdenerwowanie Silversa i doświadczenia Carmena z dnia dzisiejszego. Showalter przebiegł wzrokiem po swoich kolegach Ziemianach, próbując pochwycić urywki rozmów rozbrzmiewających przy sąsiednich stołach.

– Myślisz, że takie coś, mogło ich wszystkich tak bardzo wzburzyć dzisiejszego poranka? – spytał.

Hockley skinął głową.

– Przepychając się tutaj do ciebie, złapałem dostatecznie dużo z toczących się dookoła rozmów, aby być pewnym. Z tego co zrozumiałem zdaje się, że do tej pory, każda z grup napotkała już tego rodzaju problemy, związane z odcięciem od szerokich obszarów, które wcześniej zaczęli już badać sami.

– Kiedy rozwiała się chmura początkowej obawy, pierwszą rzeczą jakiej każdy z nich chciał, była odpowiedź na pytania odnośnie swojego własnego wypieszczonego poletka badań. W dziewięciu przypadkach na dziesięć, było to coś, co Rykesi kazali im wylać w zlew. Taka rada nie przypadła im specjalnie do gustu –– jak sam zresztą widzisz.

Showalter lekko cofnął głowę i przez dłuższą chwilę przyglądał się badawczo Hockleyowi.

– Wiedziałeś, że tak właśnie będzie. To dlatego nas tutaj ściągnąłeś…

– Miałem na to nadzieję. Byłem raczej pewien, sposobu w jaki działają Rykesi.

Showalter zamyślił się na moment, a potem stwierdził:

– Wydaje mi się, że zdobyłeś punkt, przynajmniej jeżeli chodzi o tę grupę. Nie możesz jednak mieć nadziei, że uda ci się przekonać do tego wszystkich ludzi na Ziemi. Rykesi nadal będą podtrzymywali swoją ofertę, a w imieniu Ziemi przyjmą ją inni. A co, jeżeli w końcu okaże się, że to my się mylimy? Skąd jesteś taki pewien, że to właśnie nie w taki sposób Rykesi osiągnęli swoje niesamowite tempo? Dlatego, że nie wchodzą w te wszystkie ślepe uliczki, w których my się szamoczemy.

– Ależ ja jestem pewien, że to właśnie w ten sposób, osiągnęli takie tempo rozwoju.

– A więc, może powinniśmy ruszyć razem z nimi, niezależnie od naszych osobistych pragnień. Być może po prostu nigdy nie wiedzieliśmy, w jaki sposób powinno się prowadzić badania!

Hockley uśmiechnął się przez stół, do swojego asystenta.

– Oczywiście, wierzysz w to co mówisz.

– Ja tylko tak mówię – odparł z irytacją Showalter. – Ta sprawa, z każdym dniem staje się coraz bardziej zwariowana. Jeżeli wydaje ci się, że rozumiesz problem Rykesów, to szkoda, że nie możesz usatysfakcjonować się rezultatem, jaki mamy teraz. Patrząc na większość z tych gości, powiedziałbym, że mają coraz bardziej ochotę ukręcić łeb najbliższemu Rykesowi, zamiast padać przed nim na kolana.

– Mam nadzieję, że masz rację – żarliwie powiedział Hockley. – Możesz być pewien, że mam na to nadzieję.

Do wieczora oznaki tego, że Showalter miał rację, coraz bardziej się nasilały. Hockley zrezygnował z popołudniowego wykładu, i spędził ten czas w salonie, zajmując się własnymi sprawami. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien naciskać na grupę. Przede wszystkim musiał opanować wszelkie pokusy, by ich do czegoś popychać, albo powiedzieć „A nie mówiłem”. Ich obecna frustracja była taka głęboka, że antagonizm jaki odczuwali, mógł się obrócić w nieprzewidywalny sposób, w dowolnym kierunku, a jeżeli nie będzie ostrożny, sam mógłby stać się jego celem.

Z drugiej jednak strony, musiał być gotów, aby wykorzystać ich niezadowolenie, i kiedy już do tego dojrzeją, podrzucić im decydujące wyzwanie. Być może stanie się to już dzisiejszego wieczora, a być może dopiero w którymś z kolejnych tygodni. Chciałby mieć jakiś sposób, żeby to przewidzieć. Na szczęście w takim stanie, w jakim sprawy się rozwinęły, brzemię konieczności wyboru właściwej chwili, zostało zdjęte z jego barków.

Tego wieczora, po kolacji, kiedy grupa zaczęła dryfować do salonu, Silvers, Carmen i trzech innych ludzi, podeszli do miejsca gdzie siedział Hockley. Silvers pociągał palcami za guzik swojej koszuli, tak jakby przygotowując się do przemowy.

– Panie Hockley, chcielibyśmy pana poprosić – zaczął, – to jest… wydaje nam się, że powinniśmy spotkać się wszyscy razem. Prosilibyśmy, aby zwołał pan zebranie. Kilku z nas ma parę spraw, które chcielibyśmy omówić.

Hockley skinął głową, utrzymując niewzruszony wyraz twarzy.

– Chodzi o tę sprawę, o której wspomniałem panu wczorajszego wieczora – mówił dalej Silvers. – Dotyczy ona całej naszej grupy. Wydaje nam się, że powinniśmy o tym porozmawiać.

– Doskonale – odparł Hockley. – Ja także myślałem, że to może być dobry pomysł. Rozpuśćcie panowie wieści, i znajdźmy parę krzeseł. Możemy spotkać się za dziesięć minut.

Pozostali przytaknęli z poważnymi twarzami i poszli sobie z entuzjazmem przypominającym przygotowania do pogrzebu. I być może właśnie z czymś takim będziemy mieli do czynienia, pomyślał Hockley –– z czyimś pogrzebem. Miał tylko nadzieję, że Rykesów.

Pomieszczenie zaczęło się wypełniać niemal natychmiast, tak jakby wszyscy spodziewali się tego zawiadomienia. Po upływie nieco ponad pięciu minut, wydawało się, że wszyscy członkowie ziemskiej delegacji stawili się już na zebraniu, nie tracąc chwili czasu.

Senatorowie nadal mieli zakłopotane miny, oraz na wpół wystraszone, na wpół zaniepokojone spojrzenia. Widać było wyraźnie, że dręczący ich niepokój nie tylko nie osłabł, ale nawet jeszcze się wzmógł. Na twarzach naukowców jednak nie było widać zakłopotania, tylko napięcie i wyraz determinacji, który Hockley nieśmiało pozwolił sobie zinterpretować, jako zmianę ich poglądów. Musiał jednak poczekać na werbalne potwierdzenie swoich domysłów.

Starając się wyglądać nieformalnie, włożył ręce do kieszeni i przechadzał się przed całą grupą.

– Zostałem poproszony o zwołanie zebrania – rozpoczął, – przez kilku członków naszej grupy, którym coś leży na sercu. Wydaje im się, że my również będziemy zainteresowani niepokojącymi ich sprawami. Ponieważ ja osobiście nie mam nic specjalnego do powiedzenia, po prostu przekażę zaraz głos jednemu z panów, którzy mają. Jako pierwszy poprosił mnie o zorganizowanie tej dyskusji doktor Silvers, tak więc chciałbym prosić go o przejęcie przewodnictwa obrad. Czy mógłby pan do mnie podejść, panie doktorze?

Matematyk wstał ociągając się, jakby miał nadzieję, że ktoś inny zajmie się gadaniem. Stanął na jednym ze skrzydeł grupy, w połowie drogi miedzy przodem a tyłem.

– Mogę powiedzieć wszystko, z tego miejsca – powiedział.

Po chwili przerwy, jakby podjąwszy ważną decyzję, zaczął wygłaszać swoją mowę.

– Wydaje się, że niemal każdy z nas stanął wobec pewnego aspektu charakteru i kultury Ryke, którego nie przewidzieliśmy z początku, w czasie kiedy otrzymaliśmy ich ofertę. – Pokrótce podał szczegóły na temat odrzucenia przez Rykesów jego badań dotyczących równań Legranda. – Mówiono nam, że otrzymamy odpowiedź na nasze wszystkie pytania. Że nauka Rykesów obejmuje wszystko co jesteśmy w stanie przewidzieć, albo

moglibyśmy osiągnąć w ciągu kolejnych kilku tysięcy lat. Muszę się, przyznać, że to łyknąłem. Wszyscy to zrobiliśmy. Okazuje się, że byliśmy w lekkim błędzie. Obecnie zaczyna się okazywać, że wcale nie trafimy do intelektualnego raju, jak nam się wydawało.

Cierpko się uśmiechnął.

– Jestem pewien, że nikt z panów nie jest bardziej niż ja, gotów do tego, aby się przyznać do głupoty. Okazuje się bowiem, że ten tak zwany raj, składa się zaledwie z kilku klejnotów, które Rykesi uznają za wartościowe, podczas gdy reszta terenu pozostaje nietknięta.

– Chciałbym złożyć publiczne przeprosiny, na ręce doktora Hockleya, który widział i rozumiał sytuację tak, jak ona rzeczywiście wygląda, podczas gdy reszta z nas chodziła z głowami w chmurach. W jaki sposób się tego domyślił, nie jestem w stanie powiedzieć, ale zrobił to, i w bardzo roztropny sposób wybrał jedyną możliwą drogę aby nas przekonać, do czegoś, co jak wiedział, jest prawdą.

– Sugeruję, panowie, abyśmy spakowali się jeszcze dzisiaj wieczorem. Wróćmy natychmiast do naszych laboratoriów, i spędźmy resztę naszego życia, próbując choć w pewnym stopniu odpokutować, za to że byliśmy na tyle głupi, aby skusić się na lep drogi, jaką próbowali sprzedać nam Rykesi.

Wzrok Hockleya spoczywał na senatorach. Początkowo, kiedy matematyk przeszedł do rzeczy, ich twarze pobladły i pojawiło się na nich niedowierzanie. Potem, powoli, ich wyraz zmienił się w czyste przerażenie.

Kiedy Silvers skończył, natychmiast wybuchł gwar i harmider. Od strony naukowców rozległ się chór głosów, z których większość zdawała się aprobować stanowisko Silversa. Jego przeciwwagę stanowiła eksplozja wrzasku ze strony senatorskiej części grupy.

Hockley pozwolił żeby to trwało, nawet nie unosząc rąk w uspokajającym geście, dopóki zgiełk w końcu nie ucichł sam z siebie, a oczy wszystkich delegatów nie skierowały się w jego stronę.

Ale wtedy, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zerwał się na nogi Markham.

– Bezwzględnie mamy tutaj do czynienia z moralną zdradą – zagrzmiał. – Nigdy w życiu nie słyszałem o bardziej obrzydliwym przypadku złamania danego wcześniej słowa, niż stało się to dzisiejszego wieczora.

– Ta sprawa nie dotyczy wyłącznie panów. Biorąc pod uwagę względy praktyczne, to ona was wręcz w ogóle nie dotyczy! A wy panowie, pozwalacie sobie wziąć na siebie ocenę w kwestii, która ma żywotny charakter dla wszystkich ludzi na Ziemi –– i to jedynie z czystej złośliwości, ponieważ Rykesi odmówili rozważenia waszych dziecinnych projektów! Nigdy nie słyszałem o tak niewiarygodnie infantylnym zachowaniu, jak okazane dzisiejszego wieczora przez panów, podobno dojrzałych luminarzy nauki.

Wyzywająco wpatrywał się rozjarzonym wzrokiem w Hockleya, który ponownie skupił na sobie uwagę wszystkich, mimochodem przesuwając się na środek sceny.

– Czy ktoś chciałby spróbować odpowiedzieć panu senatorowi? – spytał obojętnym tonem.

Natychmiast poderwało się wielu ludzi, mówiąc jeden przez drugiego. Przerwali nagle, spoglądając z szacunkiem na swoich sąsiadów i na Hockleya, zachęcając go wzrokiem, aby wybrał jednego z nich na mówcę.

– Być może spróbuję odpowiedzieć mu osobiście – zaproponował Hockley, – ponieważ to ja przewidziałem, że to wszystko może się wydarzyć, oraz zaproponowałem abyśmy wykonali tę próbną rozgrzewkę, przed oddaniem naszych zbiorowych zasobów szarych komórek, we władanie Rykesom.

Chór aprobaty i skinięcia głowami, dały mu zielone światło.

– Pan senator ma absolutną rację, mówiąc że sprawa ta dotyczy nie tylko naszej niewielkiej grupy – rozpoczął. – Ale pan senator zamierzał tym samym zasugerować istnienie jakiejś podstawowej różnicy pomiędzy nami, naukowcami, i resztą ludzkości. To podstawowy błąd.

– Każdy członek rasy ludzkiej, którego obchodzi Wszechświat w jakim żyje, jest naukowcem. Należy odpowiedzieć sobie na pytanie, kim są naukowcy –– i chyba nikt nie może określić ich inaczej, niż jako ludzi próbujących rozwiązać problem zrozumienia naszego Wszechświata, zarówno tego otaczającego ich bezpośrednio jak też w większej odległości. Interesują ich kwestie materii nieożywionej, ich własnej osobowości, ich bliźnich –– i wszystkich tych posplatanych wzajemnie związków pomiędzy tymi czynnikami. My, zawodowi naukowcy, nie jesteśmy jakimś obcym gatunkiem, odmiennym od reszty naszej rasy. Jedyna może różnica polega na tym, że my podejmujemy *więcej* problemów, niż robi to przeciętny z naszych bliźnich, i są one bardziej złożonego rodzaju. To wszystko.

– Istotą naszej nauki jest nieodparta osobista tęsknota, aby poznać i zrozumieć Wszechświat. Aby to zapewnić, nie wolno zakazywać naukowcom zadawania dowolnych pytań, jakie tylko przyjdą im do głowy. Chwila, w której nałożymy jakiekolwiek ograniczenia, na obszary o które wolno nam pytać, albo narzucimy granice na dziedziny naszych aspiracji umysłowych, nasza nauka przestanie istnieć i stanie się po prostu zwykłą oportunistyczną technologią.

Markham wstał, z twarzą czerwoną, z rozdrażnienia i wściekłości.

– Ależ nikt nie próbuje was ograniczać! Dlaczego to jest dla was takie niepojęte? Wam oferowano nieograniczony rozwój, a wy ciągle podnosicie jakieś chore lamenty o ograniczeniach. Rykesi przemierzyli już całe to terytorium, które tak bardzo upieracie się, by badać. Mogą wam powiedzieć o olbrzymiej liczbie tandetnych błyskotek i pustych błahostek, jakich tam pełno. Jesteście jak dzieci, nalegające na badanie każdego ciemnego kąta i szperające za każdym bezużytecznym krzaczkiem, podczas wędrówki przez las. Takie rzeczy mogą być tolerowane u dziecka, ale nie u dorosłego człowieka, który potrafi wykorzystać informacje od tych, którzy byli gdzieś wcześniej!

– W pańskiej argumentacji są dwie luki – odparł Hockley. – Przede wszystkim nie ma żadnej fundamentalnej różnicy pomiędzy uczeniem się dziecka, które rzeczywiście musi badać ciemne kąty i dziwaczne rośliny,

koło których przechodzi –– nie ma żadnej różnicy między tym, a dociekaniami naukowca, który musi badać Wszechświat swoimi własnymi zmysłami i posiadanymi przez siebie przyrządami. Obojgu nie wolno jest przyjmować na wiarę żadnych informacji od innych, że gdzieś nie ma nic wartego zobaczenia.

– Po drugie, sami Rykesi są w grubym błędzie, oceniając że są daleko przed nami. To nieprawda. We wszystkich rozwijanych dziedzinach naukowych, ograniczyli się straszliwie do jednego wąskiego obszaru prawdopodobieństwa. Wytyczyli wąską ścieżkę pomiędzy wspaniałymi perspektywami leżącymi po jej obu stronach, i celowo zignorowali wszystko to, co znajdowało się poza tą ścieżką, na najbardziej nawet zachęcających tropach w bok.

– A czy w takim postępowaniu jest cokolwiek złego? – dopytywał się Markham. – Kiedy wyrusza pan w jakąś podróż, nie krąży pan przecież w tą i z powrotem, zagłębiając się w każdą możliwą ścieżkę, która może prowadzić w kierunku zupełnie przeciwnym do pańskiego miejsca przeznaczenia. Porusza się pan po trasie bezpośrednio do niego wiodącej. Albo przynajmniej *zwykli* ludzie tak postępują.

– Naukowcy postępują tak również – odparował Hockley, – kiedy wyruszają w podróż. Profesjonalna nauka, nie jest jednak podróżą. Nauka polega na eksploracji.

– W sposobie postępowania Rykesów jest sporo błędów. Założyli bowiem, i żądają od nas byśmy również tak zrobili, że istnieje pewna, bardzo określona przyszłość, w kierunku której my wszyscy podążamy. Ta przyszłość zbudowana jest na bazie odkryć, jakie poczynili na temat Wszechświata. Wynika ona z systemu matematyki, jaki rozwinęli, w którym nie ma miejsca na równania Legranda doktora Silversa. Nie ma w niej również miejsca na świat, w którym istnieje seria wyjątkowych środków chemicznych doktora Carmena.

– Rykesi zbudowali cudowny, w pełni działający świat, spokoju, piękna, spójności naukowej, ekonomicznego zrównoważenia. Wyeliminowali olbrzymią część chaosu, który nadal muszą cierpieć Ziemianie.

– Ale my wcale nie chcemy dostać tego zdobyli Rykesi… a przynajmniej jeżeli będziemy musieli zapłacić za to ich cenę.

– A więc jesteście kompletnymi głupcami – stwierdził Markham. – Na szczęście, nie możecie i nie będziecie mówić w imieniu wszystkich mieszkańców Ziemi.

Hockley zrobił kilka kroków do przodu, a następnie do tyłu, z wzrokiem wbitym w podłogę.

– Myślę jednak, że mówimy, i możemy to robić, w imieniu wszystkich naszych współrodaków – odezwał się w końcu. – Proszę pamiętać, że tak jak panu mówiłem, w ostatecznym rozrachunku, wszyscy ludzie są naukowcami. Jestem absolutnie pewien, że żaden Ziemianin, który w pełni zrozumiałby sytuację, nie chciałby stanąć wobec przyszłości, jaką przygotowali dla nas Rykesi.

– A dlaczego, nie? – dopytywał się Markham.

– Ponieważ możliwych jest zbyt wiele innych przyszłości. Nie możemy się zgodzić na marsz wzdłuż jednej wąziutkiej ścieżki, w kierunku *tej* złotej

przyszłości. A to jest właśnie to, co kazaliby nam robić Rykesi. Ale oni nie mają racji. To byłoby tak samo jakby ktoś przeleciał przez galaktykę z szybkością nadświetlną, a potem twierdził, że tę galaktykę zwiedził. To, co osiągnęli Rykesi jest rzeczywiście prawdą i jest dobre, ale to czego nie osiągnęli, być może jest dużo lepsze i warte jeszcze więcej.

– A skąd możecie wiedzieć, że ten absurd jest prawdą?

– Nie wiemy… nie wiemy z pewnością – przyznał Hockley. – I nie będziemy wiedzieć, jeżeli nie dojdziemy tam na własnych nogach, krok za krokiem. Ale my nie mamy zamiaru ograniczać się do wąskiego szlaku Rykesów. My pójdziemy szeroką ławą, wchodząc na tyle pobocznych ścieżek, ile tylko uda nam się znaleźć. Przebadamy każdą prawdopodobną rzecz, na jaką natrafimy, zajrzymy za każdy krzaczek i pod każdy kamyk.

– Będziemy poruszać się razem, tysiącami, milionami, równolegle, współdziałając między sobą i wymieniając informacje. Najprawdopodobniej wielu z nas skończy w ślepych uliczkach. Niektórzy znajdą informacje, z jednego punktu widzenia wydające się ostatecznymi prawdami, a z innego zwykłym oszustwem. Kto może wiedzieć z góry, którymi z tych rozlicznych ścieżek powinniśmy wyruszyć? Na pewno nie Rykesi. Sami przecież większość z nich zwyczajnie pominęli!

– Nie ma znaczenia, że wiele z nich prowadzi do niepowodzenia –– a przynajmniej nie ma, dopóki pozostajemy między sobą w kontakcie. W końcu znajdziemy najlepszą możliwą przyszłość, dla nas. Ale nie ma żadnej *jedynej* przyszłości, tylko cała paleta różnych możliwych przyszłości. Musimy mieć prawo do zbudowania takiej, jaka najlepiej odpowiada naszemu gatunkowi.

– Czy to jest bardziej ważne niż natychmiastowe osiągnięcie bardziej pokojowego, zunifikowanego i bezpieczniejszego społeczeństwa? – spytał retorycznie Markham.

– Nieskończenie bardziej ważne – odparł Hockley.

– No to, naprawdę szczęśliwie się składa, że nie ma pan władzy, pozwalającej na wprowadzenie w życie pańskich obłąkanych idei. Program Ryke został zaproponowany Ziemi, i zostanie przyjęty w imieniu Ziemi. Może być pan pewien, że jeżeli spróbuje pan zaproponować te pomysły z powrotem, w domu, to spotka się pan z bardzo kiepskim odzewem.

– Wyciąga pan pochopne wnioski, panie senatorze – oznajmił Hockley ze spokojną pewnością siebie. – Dlaczego pan przypuszcza, że zaproponowałbym tę podróż, gdybym nie wierzył, że mogę coś zrobić, z tą sytuacją? Zapewniam pana, że nie przylecieliśmy tutaj tylko po to, aby sobie pooglądać widoczki.

Szczęka Markhama lekko opadła, a jego twarz wyraźnie pobladła.

– Co pan chciał przez to powiedzieć? Nie ośmielił się pan chyba próbować zrażać do nas Rykesów…

– Chciałem przez to powiedzieć, że jest bardzo wiele rzeczy, jakie możemy zrobić z tą sytuacją. Teraz już uczucia moich kolegów biegną torem podobnym do moich. Jestem pewny, że zgadzają się oni ze mną, że musimy efektywnie i ostatecznie utrącić każdą możliwość wplątania Ziemi w te nonsensy Ryke.

– Nie ośmielicie się!… Nawet gdybyście mogli…

– Możemy, i ośmielimy się – odparł Hockley. – Po powrocie na Ziemię, złożymy raport, że Rykesi odmówili przyłączenia Ziemi do swojego programu. Ogłosimy, że robiliśmy wszystko co tylko było możliwe, aby zawrzeć z nimi tę umowę, ale na próżno. Jeżeli ktoś będzie próbował zweryfikować nasz raport, to sami Rykesi przyznają, że to jest absolutna prawda, i że nie mogą rozważać Ziemi jako możliwego uczestnika programu. Jeżeli będzie pan twierdził, że oferta została złożona już wcześniej, to zobaczy pan, że Rykesi nie dadzą panu zbyt wielkiego wsparcia, a nawet wręcz przeciwnie, sami będą skwapliwie zaprzeczać że zostaliśmy już w zasadzie zakwalifikowani.

– Trudno sobie wyobrażać, aby Rykesi spokojnie przyłączyli się do tego rodzaju idiotycznego planu.

– Nic na to nie poradzą… jeżeli zademonstrujemy dobitnie, że kompletnie nie nadajemy się do uczestnictwa.

– Pan… pan…

– To nie będzie trudne – stwierdził Hockley. – Rykesi stworzyli doskonały układ nauczyciel – uczeń, ze wszystkimi fałszywymi założeniami, jakie się z nim wiążą. Istnieje co najmniej jeden, absolutnie pewny sposób, na rozbicie takiego układu. Doświadczenia kilku tysięcy lat niepowodzeń naszych różnych systemów edukacyjnych, wskazują również, że istnieje spora liczba mniej spektakularnych metod, także…

Zawiesił głos, zastanawiając się przez chwilę.

– Być może słyszał pan o doświadczeniach i technikach powszechnie stosowanych na Ziemi przez białych ludzi, w ich wysiłkach podejmowanych w celu edukowania różnorodnych aborygenów. Pierwsza procedura polegała na pozbyciu się wszystkich plemiennych szamanów, ignorowaniu ich wiedzy i umiejętności. Skłonieniu tubylców do porzucenia magicznych słów, kociołków pełnych cuchnących płynów, rezygnacji ze swoich rytualnych tańców i przyjęcia wielkiej mądrości białego człowieka.

Rozłożył ręce.

– Robiliśmy to raz za razem, tylko po to, by dziesiątki lat później zrozumieć, że tubylcy kiedyś wiedzieli bardzo wiele o środkach znieczulających i uzdrawiających ziołach, że dysponowali prawdziwymi umiejętnościami porozumiewania się w sposób, którego biały człowiek nie potrafił powielić.

– Proszę teraz jednak sobie wyobrazić, że pewnego razu, jakaś grupa aborygenów, przez dłuższy czas wykazuje większy hart ducha, niż zazwyczaj. Nie chcą zrezygnować z szamanów, magii i ciężko zdobytej wiedzy, gromadzonej przez całe wieki i pokolenia. Zamiast dać sobie spokój z tymi rzeczami, upierają się, żeby nauczyć białego człowieka tych tajemnic, tak by wolał je od *swojej* nonsensownej i nieskutecznej magii. Stwarzają absolutnie frustrującą sytuację, która jeżeli będzie trwała dłużej, w końcu zniszczy białego człowieka jako edukatora. Jest on więc zmuszony w końcu postanowić, że ignoranckie dzikusy są niewyuczalne.

– To absolutnie niezawodna technika –– i ją właśnie zastosujemy. Doktor Silvers zacznie uczyć swojego wykładowcę matematyki, podejść do równań Legranda. Będzie długo i głośno opowiadał o geometrii, jaka potencjalnie leży w jego systemie matematycznym. Doktor Carmen

zacznie wyjaśniać ze wszystkimi szczegółami, właściwości zestawu środków chemicznych, który radzono mu zostawić w spokoju.

– Każdy z nas znajdzie choć jeden kierunek badań, z którego Rykesi kazaliby nam zrezygnować. I to właśnie on będzie najważniejszym tematem, co do którego będziemy się upierać, aby został przedmiotem badań. Nauczymy ich tych rzeczy, i pokażemy, że Ziemianie są niedouczoną, niewyuczalną bandą aborygenów, którzy odmawiają podążania jedynie słuszną drogą do jasności i chwały, a zamiast tego upierają się przy podążaniu każdą okrężną ścieżką i przeszukiwaniu każdego ciemnego kąta, leżącego poza tą drogą.

– To powinno załatwić sprawę. Oceniam, że nie powinien minąć nawet tydzień, a będziemy już w drodze do domu, z nadaną przez Rykesów etykietką, całkowicie beznadziejnego materiału dla ich akcji oświatowej.

Senatorowie przez chwilę wyglądali na przerażonych i zamilkli, ale wkrótce doszli do siebie i rozpoczął się pokaz wysokich lotów krasomówstwa, i rozdzielania włosa na czworo. Naukowcy dla odmiany, pozostawali we względnym spokoju, ale z ich twarzy biła stłumiona radość, która, jak musiał przyznać Hockley, sprawiała wrażenie nieco diabolicznej. Składały się na nią, pomyślał sobie, wszystkie te radosne przewidywania, każdego z uczniów, którzy kiedykolwiek podkładali pinezkę na krzesło nauczyciela.

Hockley w swoich przepowiedniach nieco się przeliczył. Tak właściwie, to wystarczyło zaledwie pięć dni, od czasu rozpoczęcia przez Ziemian ich kampanii, aby Rykesi zrezygnowali z dalszej pracy z nimi i bez chwili wahania, zapakowali ich na pokład statku, kierującego się w stronę Ziemi. Rykesi byli skruszeni, ale nieustępliwie przyznawali, że popełnili godną pożałowania pomyłkę, że Ziemianie powinni ruszyć dalej swoją nie dającą żadnych nadziei drogą, podczas gdy Rykesi poprowadzą resztę Wszechświata, ku oświeceniu i chwale.

Hockley, Showalter i Silvers przyglądali się jak planeta pod nimi, coraz bardziej pozostaje w dole. Hockley nie mógł pozbyć się współczucia dla Rykesów.

– Tak sobie myślę, co się stanie – oznajmił powoli, – kiedy na tej swojej równiutkiej, prostej drodze, wpadną prosto nosem, na jakąś nieprzekraczalną barierę. I zastanawiam się, czy będą mieli na tyle ikry, żeby wtedy skręcić i pójść gdzieś w bok?

– Szczerze w to wątpię – odparł Showalter. – Prawdopodobnie zwiną się w kłębek i nazwą to kresem możliwości.

Silvers pokręcił mocno głową, jakby próbując odgonić jakąś nieprzyjemną wizję.

– Nie powinno im się na to pozwolić – stwierdził. – Za daleko zaszli. Osiągnęli tak wiele, i to pomimo swoich ograniczeń. Zastanawiam się, czy nie ma jakiegoś sposobu, aby im pomóc?

KONIEC